

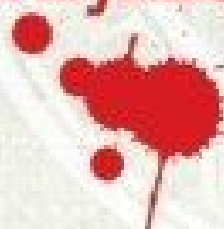
ATB

Izabela Szolc



# Strzeż się psa

Psi kryminał



*Ofeynka*

**Izabela Szolc**

**Strzeż się psa**

***Psi kryminał***



---

*Oficyna*

Gdańsk 2011

## **Dedykacja**

*Dla Mamy*

## Motto

*„Nie czują*

*upadłe dzieci Ewy...*

*Ach, tego szczęśliwego zapachu wody,*

*tej odważnej woni kamienia!”*

G. K. Chesterton, *The Song of Quoodle*

(przeł. Barbara Lindenberg)

W tym roku ciepłe noce ostatecznie odeszły do przeszłości. Siedziałem na tarasie, patrząc w granatowe niebo, raz po raz przecinane światłami samolotów podchodzących do lądowania. Oby tylko nie usiadły na lodowatej terakocie, zamieniając w popiół mnie i zestaw ogrodowych krzeseł. Laura najwyraźniej zamierzała sprzątnąć je do komórki gdzieś na Boże Narodzenie. A co ze mną? Też czekała, aż zamienię się w sopel? Słyszałem, jak krzyczy, najwyraźniej zaprzętały ją inne rzeczy niż pamięć o mnie, świerknącym na dworze. Sprawy natury osobistej, rzekłbym. I znowu spojrzałem w niebo, tym razem myśląc o Łajce, która wciąż wirowała po orbicie w Sputniku 2. Coraz dalej od domu.

Coś plasnęło o parapet podobno dźwiękoszczelnego okna, niezbędnego, gdy mieszka się pod korytarzem powietrznym. Falowanie i spadanie. Tudzież niezbędnego w innych sytuacjach... Na myśl przyszły mi słowa z Szekspirowskiego dramatu *Juliusz Cezar: Wołać będzie: Mordować! / I spuści psy wojny!* Przyszły i przeszły, choć, cholera, nie do końca.

„Strzeż się psa” wypisywali Rzymianie na swoich rozgrzanych słońcem mozaikach. *Cave canem* – czyż nie za sprawą tego hasła tu byłem? Tak, ale wcale nie jest łatwo rzucić się włoskim stylem w ogień awantury domowej, o której wiadomo, że gorsza od skutego wiecznym lodem dantejskiego Piekła. Byłem zatrzaśnięty na tarasie, zamarzał mi zadek. Laura długo finiszuje i w miłości, i w nienawiści. Ot, jej sposób na przedłużenie sobie przyjemności. Erudyta się znalazł, pomyślcie sobie. A czemu by nie? Jeśli jesteś kształtowany przez rodzinę jednocześnie kulturalną i patologiczną, to trudno, żebyś wyrósł na Rin Tin Tina. Trudno, bo rola upudrowanego komedianta czy niemego błazna odpowiadałaby mi bardziej niż rola stróża, pasterza, bodyguarda. Jasne, mógłbym pozostać psem.

Wypadałoby w tym miejscu zabawić się w pana Umberto Eco albo Jerzego Pilcha i wtrącić kilka słów o mojej przeszłości. Parę zdań nim zamarznie mi też

język, chyba że Laura odpowiednio szybko zdecyduje się odgryźć łeb swemu absztyfikantowi.

Przyszedłem na świat jak każdy: nie wiedząc, co czynię. Zdezorientowany, z okołoporodową demencją. Kto...? Kim...? Co?! Gdzie???

– To *canis lupus* – stworzyły mnie słowa. – Pies domowy.

– Raczej lapsus niż lapus – odgryzł się wyższy głos i to była Laura. – On chyba już nie urośnie?

– Twoja mama powiedziałaaby, że to *gran bambino*... Ale o to chodziło.

– Czyli będzie większy?

– Największy! – Poczulem, że od źródła niższego i starszego głosu nagle uderzyło ciepło krwi dopływającej do policzków.

– Tato!

– Lauro, to z mamą postanowiliśmy, że potrzebujesz psa obronnego. Samotnie mieszkająca młoda kobieta...

– Znowu to samo!

– Przecież to uroczy szczeniak! Spójrz na te długie, nisko zwisające uszy. A to wysklepienie czaszki!

Tata, czyli „dziadek”, był profesorem filologii klasycznej, ale czasem zagalopowywał się do przeszłości, kiedy jako chłopiec dłubiący w piaskownicy marzył o tym, by zostać paleontologiem. Dobrze, że stało się inaczej. W przeciwnym razie byłbym dinozaurem, martwym. W tamtej chwili zaś byłem skamieniałym ze strachu szczeniakiem bloodhouna.

– Powiedziałaś bloodhound?

– Są też sympatyczniejsze imiona. W średniowieczu nazywano je psami świętego Huberta.

– To musiał być pomysł mamy.

Uzupełniając wiadomości: obiecuję, że opowieść ta jest krwawą sensacją, a nie sagą rodzinną, cieknącą jak krew z nosa. I dodam, że matka Laury była specjalistką od średniowiecznego włoskiego, czyli tak jakby bardziej pokiereszowanej łaciny. Spotkali się z ojcem (który miał wówczas dwadzieścia dwa lata i nie domyślał się, co

czeka już za progiem) na zjeździe lingwistów. Biorąc pod uwagę specjalizację ogółu, zlot powinien odbyć się w Rzymie. Ze względu na to, że wszyscy jego uczestnicy posiadali jedynie paszporty uprawniające do przekraczania bratnich krajów socjalistycznych, wylądowali w Jugosławii. Tata i mama zamajstrowali Laurę w Dubrowniku. Później musieli przeprowadzić się do dużego miasta, gdzie jedyny kontakt z łaciną zapewniała buntująca się przeciwko swoim klasykom klasa robotnicza. Etc., etc. Gdzieś po jedenastej et cetera granice i paszporty Wschód – Zachód przestały mieć aż takie znaczenie. Matka Laury wyjechała do Florencji na naukowy kontrakt, ojciec dochrapał się piłśniowej katedry na uniwersytecie, a sama Laura dorosła i uznała, że dzielenie życia pomiędzy dwa domy to za wiele, więc wyjechała do stolicy i wynajęła mieszkanie w zaułku, gdzie co i rusz natykała się na krzywą, ale spopularyzowaną łacinę.

– Tu jest niebezpiecznie. Będziesz miała tego psa!

– Powiedziałaś „Hubert”?

– Albrecht, Albrecht powiedziałem. To był pierwszy miot bardzo rasowej suki, więc wszystkie szczeniaki dostały imiona na pierwszą literę alfabetu.

– Albrecht, pies świętego Huberta?

Bloodhound? – Błysnęło mi w szczenięcej (bo nie małej) głowie, jak w rodzącej się galaktyce. Ja? Przecież ja jestem łagodny. Od urodzenia, cokolwiek to znaczy.

– Bloodhound, pies szukający zaginionych dzieci, tropiący kryminalistów i zbiegłych niewolników – wyczytała Laura w encyklopedii. – Do jakiej grupy mnie zaliczyliście? A co ty na to powiesz, Al?

Spojrzałem w jej czarne, przepastne oczy i zemdląłem. Miałem sześć tygodni i już byłem zakochany na zabój. Ja, Al. Minęło prawie siedemdziesiąt miesięcy od tamtej chwili, a mnie zamarza zad, bo Laura właśnie wypłasza z naszego M kolejnego niewydarzonego kochanka. Oparłem pomarszczoną kufę na łapach i westchnąłem, szykując się do... wiosny.

Dobiegł ostatni okrzyk i napięcie opadło. Nie minęła chwila, kiedy Laura otworzyła przeszklone drzwi i zaprosiła mnie do mojego własnego domu.

– Ani mi się waź poruszyć ogonem – anatomia Laury miała jedną ciekawą rzecz (no, wiele ciekawych rzeczy, kiedy się ją panoramowało): jeden profil był harmonijny jak u modelki, drugi był profilem złoŃnicy. Zgadnijcie, który miałem teraz przed pyskiem? Awers czy rewers mojego skarbu? Podkuliłem, co miałem podkulić, ale...

– „Chcę, aby mój mężczyzna był jak mój pies” – zacytowałem jej wypowiedź Gerii Halliwell „Ginger” Spice, właścicielki shi tzu (sic!) o imieniu Harry. Zignorowała mnie. Niektóre kobiety są z Wenus, a psy z Syriusza. Nasze gniazdko wyglądało, jakby przeszedł przez nie umiarkowany huragan. W kącie leżała drewniana figurka Buddy, która w mniej burzliwych czasach zdobiła biurko. W ekumenicznym gościu powąchałem ją. Był to równocześnie gest ambiwalentny, bowiem to Budda powiedział, że „ci którzy mają na sumieniu podle czyny, odradzają się w sferze zwierząt lub w jednej ze sfer piekła”. Nie zgadzałem się z nim ani nawet z jego koniem, który tak ukochał swego pana, że serce mu pękło, kiedy tamten oddał się pokutnemu życiu.

– Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty mojego życia – powiedziała Laura, co było banalne nawet na nią, a przecież zawodowo zajmowała się banałem, wartościowaniem banału. Liczyłem na to, że od razu pójdziemy do łóżka, ale ona usiadła przy komputerze i zajęła się sprawami Firmy. Z jej fascynacji buddyzmem pozostały: płyta zespołu Nirvana, paczka wegetariańskiego zarcia dla psów z internetowego sklepu, no i ta figurka. Nie wiem, kiedy się połapała, że tak w ogóle to nie chce osiągnąć oświecenia, bo wtedy to życie okaże się jej życiem ostatnim. A kto by tak chciał? Wy? Ja nie. Tak jak wcześniej pragnieniem jej serca były wyrzeczenia, tak teraz przyjemności. Przyjemności jej i innych, dodajmy tonem usprawiedliwienia. Laura postanowiła „wiązać powietrze w węzły” i założyła małą agencję public relations. Dobrze jej szło: potrafiłaby obdarzyć charyzmą i osobowością nawet zwój konopnego sznurka. Z pierwszych pieniędzy kupiła perfumy Guerlaina „Samsara”, równie bogate i pyszne, co zgubne, bo niosące posmak nieustannego życia. W różnych wcieleniach, postaciach, miejscach. Nie było źle – ona wciąż była Laurą, a ja jej psem, ale mogliśmy się wyprowadzić z podłej



dzielnicy do nowo zbudowanych bloków, z jednej strony otwierających się na stację metra, z drugiej na las, którego koniec niknął w głębokim cieniu. Jasne, były jeszcze korytarze powietrzne nad głowami, a domy przypominały speerowskie blokhauzy, tyle że bez Speera, ale któż by się tym przejmował? Laura się rozwijała, a ja lubiłem świeże powietrze pachnące lasem, łąkami i kadzidłem (tak, obok wyrósł neokoszmarny, przepraszam neoromański, kościół). Jest fajnie. Naszymi sąsiadami są single i młode pary. Mam masę kumpli. Wiadomo: nim dokonają bilansu, lukną na giełdowe wahania i kupią wszystkie nowinki o dzieciach – dla treningu wezmą sobie psa.

Laura przyszła do łóżka. Ja już tam na nią czekałem, bo czyż nie trawiła mnie choroba? Miała nawet swoją łacińską nazwę: *morbus amor*. Niepokojące, a ukochane objawy: uczucie ściskania w gardle, kołatanie serca, skurcze serca, gwałtowne ślinienie się (zamiast oblewania się potem, co występuje u innych gatunków), drżenie mięśni...

– Posuń się! – Jakże słodko w moich uszach brzmiało warczenie Laury. – Oddawaj poduszkę!

Czyż to nie są wieczorne pogwarki starych, dobrych małżonków? Miała na sobie kusą koszulkę i dochodził od niej mocny zapach miętowej pasty do zębów. A pod nim była woń mojej Laury! Doprowadzała mnie do szału! Próbowałem wcisnąć jej kufę pod pachę. Wiedziała, że zrywa z kawalerem, więc nie wydepilowała tych malutkich włosków, które tak doskonale trzymają intymny aromat.

– Przestań.

Obróciła się do mnie plecami. Przycisnąłem się do niej, kładąc łeb na jaśku i zarzucając łapę na ramię Laury. Była już zbyt śpiąca, aby zaprotestować. Też po chwili odpłynąłem.

Stałem nad nią. Za oknem świtało, a ja czułem, że mój pęcherz domaga się gwałtownego opróżnienia. Szybkiego, ale w romantycznej scenerii. Po drugie zależało mi, aby spotkać na patio Tofu. Jego pan był maklerem giełdowym i już od bladego poranka szykował się na parkiet. Pomagała mu w tym nerwicowa

bezsenność.

Laura spała, pochrapując cichutko. Twarz miała obróconą lepszym profilem i wyglądała jak Śpiąca Królewna. Pochyliłem się i polizałem jej twarz. Od dołu do góry. Całuśnie. Zerwała się jak oparzona.

– Co ty wyprawiasz?!

Leciutko zaskuczałem.

– Cholera jasna!

– Na spacer!

– Kto kładzie się z psami, ten budzi się z pchłami – zamamrotała. Nie czułem się urażony. Miała prawo do takiej oceny sytuacji. Kołdra zsunęła się, ukazując jej gładką, umięśnioną nogę. Gdyby tylko się nie depilowała, byłaby to doskonała noga charcicy.

– Idź sam. Yyyidź sam – ziewnęła i nakryła głowę poduszką. Ściągnąłem ją. Gdyby była skłonna otworzyć się na mnie i posłuchać, wytłumaczyłbym jej, że ochroniarze wściekają się, kiedy psy hasają same po patio. Każdy z nas aż marzy, aby obesrać tę idealnie utrzymaną, wiecznie zieloną trawę... Yorkom czasem to się udaje. Malutkie, wredne pieseczki. Killery w miniaturze i różowych sweterkach kamuflujących. A gdy tylko bloodhound próbuje swobodnie wybiegać się po patio, to wrzeszczą wszyscy. Ochroniarze, babcie, dzieciaki wywijające orła w piaskownicy... Wrzeszczy Laura:

– On nie gryzie!

– Jasne, od razu połyka!

Zatrzymuję się i wyję: o wy, ignoranci, nie wiecie, że bloodhoundy jak inne gończe nie mają instynktu zabijania? Morderstwa pozostawiamy ludziom i terierom. I co? Smycz, kaganiec, buda. Ta buda to licentia poetica, ale wszystko inne...

– Zaraz się zleję, Lauro, na twój beżowy dywan.

Wstała. Popatrzyłem na nią i zrozumiałem, dlaczego księżniczki w zapiskach bajkopisarzy najczęściej śpią. Przebudzone wyglądają jak matki Grendela.

– Albrecht!

– Hau?

– Idź. Nie sikaj na trawnik. A jeśli już, to dyskretnie.

– Wow!

Wypuściła mnie na korytarz naszego bloku-molocha, a później, cholera jasna, zaspana, zatrzasnęła drzwi. Nieważne, poleciałem szukać ulgi.

Tofu już był na spacerze. Makler wypuścił go za bramkę, żeby pobiegł na pole (nasz supernowoczesny blok wybudowano pośród pól i... skowronków) i zrobił swoje. Podciąłem ciecica, który pakował się na patio z kompletem plastikowych wiader, i ujadając, pogałem za Tofikiem. Brzmi po gejowsku? Po pierwsze psy są biseksualne, po drugie ja tak do niego tylko w myślach.

– Ej, Wielki Kinol, poczekaj! – zaszczekałem, choć w ogóle się nie ruszał.

Trwał z udręczoną miną. Proszę, młodszy ode mnie o rok, a tu problemy z prostatą.

Zdziwiłem się, że od razu nie odszczeknął. Gorzej: tylko popatrzył na mnie tymi swoimi smutnymi oczami basset hounda.

– Co jest? – Zatrzymałem się przy nim, kurtuazyjnie wwąchując się w jego wymęczone siuśki. Żał mi było lać przy nim prężnym strumieniem, więc sam się trochę stopowałem, ćwicząc Bóg wie jakie mięśnie, bo mięśnie Kegla mają chyba tylko suki.

– Al, podaj mi piątkę najbardziej inteligentnych psich ras.

– Tak od rana? Bez kawy, bez buzi? Bloodhoundy i...

– Nie ma na niej bloodhoundów.

– Jak to nie ma? Możemy być jeszcze sklasyfikowane jako psy świętego Huberta.

– Najinteligentniejsi: border collie, owczarek niemiecki, golden retriever, doberman, pinczer.

– A skąd w ogóle jest ta lista?

– Jak wszystko teraz, z internetu.

– Narzędzie Szatana.

Nie rozśmieszyłem go, ale czy w ogóle jest ktoś, kto potrafi rozśmieszyć basseta?

– Piątka psów najmniej rozgarniętych. Z internetu. Zgaduj, kurwa – był w tych

ostrzych słowach ból.

– A bo ja wiem. – Nie chciałem być stronniczy, ale w końcu każdy ma swoje sympatie i antypatie. Naraz zalałem się zimnym potem. – Ale chyba nie psy świętego Huberta? – W końcu kształtująca historię tradycja chrześcijańska, no i konkordat, do czegoś zobowiązuje, nawet w sieci.

– Shi tzu.

– Ksenofobiczna ocena.

– Mastiffy.

– Mięśniaki.

– Chow-chowy.

– Niemowy. I ten granatowy język. Nie mogą się odszczeknąć.

– Beagle.

– Nie lubię. Może i coś jest na rzeczy...

– Basset houndy.

– Nie!

– Nie musisz mnie pocieszać tylko dlatego, że jesteś moim kumplem. Al, czy ty uważasz, że ja rzeczywiście jestem głupi?

– Nie. Nikt nie jest doskonały, ale żeby od razu głupi...

– Co masz na myśli?

– Jaja ciągniesz po ziemi.

– Co? Po prostu jesteś zazdrosny o to, że trawa pieści moje jądra.

– Makler cię nie wykastrował?

– A to co jest? – Wypiął się ku mnie, odważnie podnosząc ogon.

– Myślałem, że imitacja. Wiesz, teraz po kastracji wszywają takie kulki, żeby państwo nie czuli, że mają niepełnowartościowe psy.

– I ty, Brutusie?

– Przestań, Kinol. Myślałem, że skoro nie wyszło ci z tamtą suką...

– Wyszło mi. Tylko zmuszono ją do zabiegu.

– To nie była suka beagla?

– Fiona. To była Fiona.

– Jak nie ona, to inna.

– Wiesz, że basset houndy pochodzą od bloodhoundów?

– No, Kinol.

– Właśnie: kinol. Nie zauważyłeś? Kinol, uszy, ogon, pysk tak w ogóle. Reszta skarłowaciała.

Cholera, z pyska był trochę do mnie podobny. Naciągane? Czy ja odszczekuję się Laurze, jak mówi, że jestem podobny do Bogarta?

– A wiesz, dlaczego skarłowaciała? Żeby ludzcy piechurzy mogli za nami nadążyć na polowaniu. Twój pan hrabia woził dupę na koniu i dlatego tylko nie ciągniesz jajami po ziemi.

– To też z internetu?

– *Z Wielkiej encyklopedii psów.*

Cholera, tego już nie da się tak łatwo zignorować.

Na granicy kruszonego betonu i ostro podwiniętej trawy stał Makler i nerwowo zerkał na zegarek. Naraz obok pojawiła się Laura, od stóp do głów zakryta ubraniami, w czapce z daszkiem, spod którego ledwo było widać koniec nosa i okulary słoneczne. Myślałby kto, że słońce od razu ją zabije (była mgła), ma kaca giganta albo rozpoznają w niej mleczną siostrę Moniki Bellucci. Doprawdy, to dla tej kobiety wymyślono czador.

– Wracamy? – uprzejmie zapytał Tofika.

– E tam. – Obrócił się ogonem do Maklera i jak rakieta z opóźnionym zapłonem ruszył przed siebie. Dogoniłem go.

Przewracał się właśnie na błotnistej ziemi, szczekając entuzjastycznie:

– Uwielbiam zapach zająca w wilgotne poranki!

Był moim najlepszym kumplem, co nie przeszkadzało mi po cichu posądzać go o cyklofrenię.

– A wracając do sprawy...

– Nie martw się, Tofik.

– Och nie, nie. Chodzi o zupełnie inną sprawę. Kojarzysz Sybille?

– Tę rudą cockerkę?

– No. Kradnie w naszym blokowym spożywczaku. Pogadałbyś z nią. Masz autorytet. Przez nią za chwilę w ogóle przestaną wpuszczać psy do środka. A sam wiesz, jak jest, zima idzie. Nikt nie lubi sobie odmrażać tyłka, gdy duzi robią zakupy. A kiedy wyskakiwali tylko po fajki, można było załapać dodatkowy spacer.

– Mnie i tak nikt nigdy nie wpuścił do tego sklepu.

– Dobra, wszystko przez to, że jesteś taki duuuży. Ale są mniejsi i najmniejsi, ci też są. Nie bądź takim książkowym sobkiem, arystokratycznym bufonem. Nie myśl tylko o sobie... No, Habsburska Wargo.

– Co powiedziałeś? Tam na końcu?

Nabrał wody w kufę. W sumie to nie wiedziałem, czy mam się obrazić. Niby sypał mi piaskiem oszczerstw w oczy, ale z drugiej strony pił do mojego nie byle jakiego pochodzenia... Jestem trochę snobem. Gdyby się wydało, że jedna z prababek miała romans z fila brasileiro... Umarłbym. Troszeczkę bym umarł.

– Al? Sybille cię szanuje. Proszę...  
Proszę...

Mojego praprzodka wyhodowano gdzieś z tysiąc dwieście lat temu w benedyktyńskim klasztorze. Czasy były trudne, więc kolejni przeorzy woleli pozostawać pod nieoficjalnymi auspicjami króla Francji. Co było łapówką dla koronowanej głowy? Co rok sześć szczeniąt bloodhounda. I tak do rewolucji w roku 1789. Król wylądował na szafocie, między innymi za grzeszki swojej żony, Habsburżanki jak się patrzy – można je było poznać po ciężkich dolnych wargach, zupełnie jak rasowe bloodhoundy... W złym momencie powiedziała wszystkim Francuzom, że jak nie stać ich na chleb, to niech jedzą ciastka. Nie miała racji? Ciastka uszczęśliwiają.

– Kradnie batoniki.

– Co...?

– Sybille. Czekolada uszczęśliwia.

– Będzie liniała – burknąłem.

– To jak? Pogadasz?

Nie powiedziałem ani tak, ani nie.

– Super, że pogadasz.

Ruszyliśmy w stronę domu nas wszystkich. Ktoś by pomyślał: królestwo Boże. Westchnąłem.

– Al? Wymień cztery dobre rzeczy.

– Mam dosyć twoich wyliczanek.

– Jedna to koza.

– Tofik, a ty czego się nażarłeś?

– Pomyliło mi się. Chodziło mi o kozła, wiesz samca kozy. Następna to lew.

– Lew to kot. Nie lubimy kotów.

– Król, przeciwko któremu poddani się nie buntują.

– To trzy.

– I chart. Chart też jest dobry.

Obróciłem się ku niemu.

– Albo charcica. Samica charta – zrobił cwany ryj, o ile to w ogóle możliwe u basseta. Z kim on, do diaska, plotkuje, jeśli nie robi tego ze mną? Poczulem się zazdrosny.

Rozdzieliliśmy się z Tofikiem. Wróciłem do okutanej Laury. Zbyt zaprzątnięta swoimi porannymi fobiami społecznymi, nie miała czasu, żeby mnie obsztorcować. Zresztą co by to dało? Byliśmy ze sobą tyle lat, że wiedzieliśmy o sobie to i owo. Ja cenilem święty czy nawet śnięty spokój, Laura na swój sposób też. Inna sprawa, że potrafililiśmy – jak każda para, każdy człowiek i każdy pies – uwikłać się w kłopoty. To Laura, a nie ja, zaprotestowała przed podróżą windą – zbyt dużo emocji, takie fiuuu w górę, aż na drugie piętro. Poszliśmy schodami. Ja prowadziłem. Nie dałbym rady się zgubić. Drzwi na nasze piętro były szeroko otwarte, w takiej pozycji utrzymywał je sznur prowadzący od klamki do zaworu hydraulicznego. Dlaczego? Skomplikowana historia. Sąsiadka z przeciwka dostała od męża szczeniaka owczarka alzackiego. Miłe dziecko, tyle że nieokrzesane. Same uszy, skóra i ogon. Żadnej orientacji w terenie. Zbiór dobrych intencji okraszony zapachem małych siuszków i paniki. Brakowało mu ojcowskiej ręki. Jego pan był kapitanem lotnictwa i prawie w ogóle nie było go w domu. Jako zadośćuczynienie, dla zabicia czasu, jako alibi i Bóg wie co jeszcze kupił żonie wilczka. Niepotrzebnie, bo żona też nie była zbyt

rozgarnięta... Wołali na niego Yossarian. Yossarian to, Yossarian tamto... Albo po prostu: Yossarian!!!, kiedy po raz kolejny się zgubił. Robił to wyłącznie wewnątrz naszego blokhauzu, zupełnie jakby lubił sobie polatać po schodach, tylko nie wiedział, kiedy przestać. Na którym piętrze wylądować. Aż któryś z lokatorów udręczonych ciągłymi wrzaskami pani pilotowej, trzepotaniem łamanych obcasów na kamiennych stopniach i tupaniem psich pazurów skonstruował to, co skonstruował, czyli Sznurową Bramę Yossariana. Trochę pomogło. Już się nie gubił na klatce schodowej. Gorzej było z windą. Pani Yossariana za bardzo oswoiła się z samotnością.

– Czy to pana pies?

– Nie.

– A pani?

– Też nie. Mój siedzi o tutaj.

– Więc?

– Może on tak sam z siebie. Może lubi jeździć...

Takie rozmowy toczono wewnątrz dźwigu osobowego. Yossarian wywalał jęzor i cieszył się, że widzi aż tyle nowych twarzy (jedna klatka mieściła ponad 170 mieszkań). Mógł wznosić się dziesięć pięter w górę, a nawet zjeżdżać dwa piętra w dół – do garaży podziemnych. Pani Yossariana gubiła go tak, jak inni gubią rękawiczki czy wieczne pióra. I nawet mu się to podobało. Odczuwał pewną niezależność, wystarczyło wydostać się z windy i zwąchać sznurek, nie?

– Yossarian!!! – regularnie roznosiło się po naszej betonowej fortecy widmowe wycie. Myślałem, że albo ona straci głos, albo w końcu się dotrą. Spojrzałem na Laure i postawiłem na to drugie. Któreś musi wyjść na ludzi albo zejść na psy. Mniejsza o nazwę. „Współdziałamy” od 15 000 lat. Kto by się czepiał szczegółów.

Kto zrozumie spaniela? Leżałem i próbowałem gapić się w sufit, udając, że to niebo. Nie podobała mi się ta sprawa z Sybille, ale nie mogłem się z niej wykręcić. Żyliśmy w zamkniętej enklawie, jak na wyspie, w której szczególnego znaczenia nabiera zasada „łapa łapę myje”. Czy mogłem ją złamać, skoro sam ją przeniosłem na nasz grunt? Cholera, nie wypadało. A jednak... Po spanielach jakoś nie spodziewałem



się niczego dobrego. Ich wilgotne oczy o łagodnym wyrazie myliły. Kiedy Sybille pojawiła się na naszym podwórku, najpierw wszystkie psy wzdychały:

– Ale z tej małej starter!

By niedługo później powtarzać jak mantrę:

– Uważaj, ta mała to wariatka!

Uważałem, co mnie specjalnie wiele nie kosztowało. Sybille była urocza, miała piękne jasnorude futro i przypominała Kasię Cichopek, ale Kasia Cichopek po prostu nie jest w moim typie. W dodatku ciągle pachniała wazeliną, a nie suczką. To przez wystawy, tłumaczyła, widząc we mnie dobrego, starszego wujka. Przed pokazem smarują psie kufy, aby sierść bardziej lśniła... Cóż, mała została kupiona przez początkującą handlerkę, którą raczej powinno nazwać się handlarką. Suczce przypadła w udziale rola małego Mozarta. Widzieliście *Amadeusa* Miloš a Formana? Jeśli tak, to wiele potraficie zrozumieć, a nawet sobie wyobrazić. Ciężkie jest życie młodego geniusza. Sybille żaliła mi się, że nigdy nie może jeść z miseczki ustawionej na podłodze, tylko musi wyprężyć się do dziecięcego stolka, a wszystko po to, aby później odruchowo prostować się przed sędziami i dumnie prezentować uniesiony łeb i pełną blasku urodę. A teraz nasza gwiazda uzależniła się od czekolady? Czy w ogóle zdawała sobie sprawę, jak słodyczne szkodzą? Czekolada uszczęśliwia, jasne. Czekolada, papierosy, truskawki, szampan, koka – wszystkie miały wpisane w swoją definicję ten dualizm. Cholera, może i byłem jej przyszywanym wujem, ale... Milka szkodzi na futro! Przytyłaś, skarbie! I pomyśl o tych, co zostają za drzwiami spożywczego!

W istocie dawno nie słyszałem o żadnej kolejnej wystawie. Nie widziałem też od jakiegoś czasu właścicielki Sybille. Dopadła ją chandra? A jeśli tak, to czy przez osmozę przeszła na suczkę? W końcu gdy kiedyś złapałem świerzbowca, weterynarz spytał Laurę, czy ona też się drapie. Skłamała, że nie, bo chciała umawiać się z nim na randki. Czempiony powinny być tak wytresowane, aby z wystawcą stanowiły całość. Czy to właśnie dopadło Sybille? Fatalne uczłowieczenie? Rzeczywiście musiałem pogadać z tą małą. Pozostało tylko pytanie, jak to zrobić. Święty Hubercie wspomóż! Błądziłem? A gdzie tam. Jean Prieur napisał w *Duszy zwierząt*: „*animal*

*est anima*”. I niech pamiętają o tym wszyscy, którzy wymyślili trymowanie spanieli czy zdegażowywanie im włosów na zadzie, cokolwiek to znaczy! Popatrzyłem w sufit: do roboty, wujku Alu. Gdyby pozwalały mi na to fafle, zagwizdałbym suitę z *Ojca chrzestnego*. Wystarczyło teraz, korzystając z tego, że Laura śpiewa w wannie, zlokalizować jej papierosy i rozszarpać je. Tak lubi sobie zapalić, kiedy wyjdzie z wody. Dochodziła dziesiąta wieczorem. Jeszcze przez godzinę nasz spożywczy był otwarty. Liczyłem na to, że kiedy się przewietrzę i dokonam wizji lokalnej, to wymyślę coś więcej niż „czekolada uszczęśliwia”. Już wyobrażałem sobie ten dialog.

– Czekolada uszczęśliwia.

– Jasne, a świstak siedzi i zawija te sreberka – odpowiadam Sybille. Na kufie ma rozsmarowane słodkości, a tymczasem nocny wiatr bawi się rozszarpanym opakowaniem po batoniku. Ha! Naprawdę jestem wybrańcem bogów (i mniejsza z tym, że wybrańcy bogów żyją krótko, mnie to nie dotyczy. Żwawo wkraczałem w szósty rok egzystencji, a za chwilę przy drzwiach lodówki miała pojawić się psia karma z napisem „senior”). Jeśli miałem pożałować swojej wieczornej euforii, to zupełnie z innego, zaciemnionego przede mną – śmiertelnym – powodu. Zaprawdę powiadam wam, pożałowałem! Na razie jednak księżyc wychodzi z za chmury, oświetlając srebrem sylwetkę Sybille. Dawno nie widziała grzebienia.

– Nie wiem, skąd we mnie ten wewnętrzny przymus. Kiedy jem, od razu jest mi tak dooobrze. Ta błogość, ta senność, to zmęczenie. Zupełnie jakbym wcześniej, no wiesz, Al. – Ma wielkie rozmarzone oczy i, cholera, jest dziewicą! A może nie? Jeśli nie, oznaczałoby to, że suczki zupełnie jak kobiety odkryły moc orgazmu. Nie chcę wyjść na szowinistycznego samca, ale to byłby koniec radosnego, egoistycznego ciupciana.

– Zjadłaś cały batonik?

– Sorry, Al. – Wzdycha. – Gdzieś straciłam całe swoje dobre maniery. – Chichocze. – Czy wiesz, że to spaniele ucywilizowały Amerykę? Byłyśmy na Mayflower.

Ech, purytanka, ryży WASP z oczami Kaliny Jędrusik.

Nie do końca wierzyłem swojemu szczęściu. Byłem racjonalistą, któremu się powiodło. Kiedy Laura przestała już się miotać w poszukiwaniu fajek, zeszła do sklepu, zabierając mnie ze sobą. Cóż, o tej porze życie kwitnie pod spożywcziakiem. Wewnątrz zbierają się wszyscy wygonieni z domu zewem potrzeby papierosów, wina, papieru toaletowego i paracetamolu. Nie może być inaczej, skoro przez trzy czwarte doby nasz blok przypomina zamek duchów, a nie ludzkie siedlisko. Dwunożni harują, żeby mieć na raty za „własne” M. Szarpią się na „ścieżce kariery”, a kiedy wieczorem docierają do własnej łazienki, pragnąc ulżyć zestresowanym trzewiom... lądują w sklepie, obiecując sobie, że już nigdy nie będą zmuszeni podetrzeć się „Business Magazine”. Ech, ludzie!... Założyłem, że na tym więziennym spacerniaku spotkam nie tylko zaharowanych dwunożnych, ale i ich czworonożnych przyjaciół, popytam, pogadam. Ale żeby od razu spotkać Sybille? Żeby na własne oczy widzieć, jak wkrada się do sklepu za swoim panem o aparycji niedźwiedzia, jak trzymając się zasłony z jego nóg omija półki z jednorazową kawą i cukrem trzcinowym, a później wyćwiczonym gestem, wysoko unosi szyję i zwiija ze stojaka marsa, aby ostatecznie pochłonąć go w trzech kęsach i nie podzielić się z żadnym z psów, które zmarznięte tkwiły przed frontem wystawy?

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – zapłakała Sybille.

– Nie bądź beksą, kochanie.

Zapłakała jeszcze głośniej.

– Żadnych wystaw? Żadnego trymowania? Żadnej diety i spacerowania o pustym żołądku po wybiegu?

– Nic. A pani to nawet nie przeciera *moi* pucharów.

Ze sklepu wyszedł jej właściciel, niosąc w reklamówce kilogram ogórków i paczkę lodów waniliowych. Coś mi zaświtało.

– Czy twoja pani przypadkiem nie jest przy nadziei?

– *Oui* – nie wiem, czemu Sybille upierała się przy francuskim. Kto zrozumie spaniela? – Nie będę już jedynaczką.

Osmoza! Osmoza! Sybille była w ciąży urojonej i nawet o tym nie wiedziała. Czego dzisiaj uczą te panienki? Odkryły orgazm, a zapomniały o podstawach!

– Muszę już iść, Al. Czekają na mnie. – A niech mnie cholera, wciąż miała urok divy.

– Spaniele lubią dzieci. Zobacysz. Dzieci uszczęśliwiają.

– Jak czekolada?

– Nie można być zbyt wybrednym, wybierając jedzenie.

Roześmiała się.

– Sybille – potruchtałem za nią. – Nie kradnij więcej. Niektórym to się nie podoba.

– Ale skąd...?

– Ja to załatwię. W końcu jestem twoim wujkiem. – Polizałem ją po pyszczku.

Nie była w moim typie, ale jak pachniała! – Kiedy spodziewacie się rozwiązania?

– W maju, Al. Czy to nie cudowne? Będziemy mieli dziewczynkę.

Miałem tchórzliwą nadzieję, że do maja wszystko się ułoży.

– Albrecht, noga! – Laura kopciła jak komin. Kichnąłem. Pomyśleć, że jeszcze w połowie ubiegłego wieku psy i wielbłądy pozowały do zdjęć reklamujących papierosy. Może ktoś mi wytłumaczy dlaczego? Lauro? Dziś pozostały tylko wielbłądy. I dobrze.

Petrarka widział swoją Laureę raptem trzy razy. Raz w kościele, drugi raz, gdy nie odkloniła mu się na ulicy, i po raz ostatni na pogrzebie – jej własnym.

W porównaniu z Petrarką byłem szczęśliwcem.

Oparłem łapy o parapet i wyjrzałem za okno, trącając nosem żaluzje. Młody, duży żółty pies kręcił się w kółko, co może było zabawnym, ale niedyskretnym sposobem na obejrzenie sobie jąder. Są, synu. Trzymają się dzielnie – chciałem do niego krzyknąć, ale głos uwiązł mi w gardle.

Taka puchata karuzela... To szczeniackie. Ale i odprężające. Częstokroć jedno z drugim idzie w parze.

Moja ukochana Lauro! „Im mniejszą mam nadzieję, tym goręcej kocham” – zapisał Terencjusz około 160 r. p.n.e. w poemacie *Eunuch*.

Teraz już wiecie. Jestem kastratem.

Nie widać tego na pierwszy rzut oka, bo pod ogonem mam wszyte dwie

plastikowe kuleczki. Żałosne atrapy. Laura się na nie uparła – skoro ma już wykastrować swojego psa, niech chociaż z pozoru trzyma on fason samca. Jestem jej za to wdzięczny. Tyle że nie przewidziała, iż psy w prywatnych stosunkach kierują się węchem. A ja pachniałem... brakiem.

Matka Laury była snobką i sama zasponsorowała sztuczne jądra. Ukłoniłbym się jej na ulicy, gdyby to nie ona była główną przyczyną mej nędzy. Była przekonana, że Laura, jeśli tego i owego się mi nie chlaśnie, po prostu sobie nie poradzi. Zamienię się w sex bestię i ciągle będę się urywał ze smyczy, aby na bliższych i dalszych suczkach gasić swe żądze. Jak sądzę, teściowej chodziło szczególnie o te najbliższe dziewczyny. Smutna historia.

Laure kochałem bezgranicznie, ale to nie znaczy, że ja, osiedlowy Abelard, nie miałem swojej Heloizy. Całkowicie obojętnej, bo zakochanej w swym prymitywnym, brutalnym, wycierającym wszystkie chodniki macho. Był to chart afgański, co częściowo usprawiedliwia jego „pustynny” savoir vivre. Regularnie znikał z domu. W wiadomym celu. Nazywał się Kazbek, a imię nosił po charcie afgańskim Picassa. Też pasowało. „Heloiza”, czyli Vita (Viva Las Vegas Night Dream – takie imię stało w jej metryce), charcica saluki, tłumaczyła swego afgańskiego męża tym, że charty potrzebują przestrzeni. Gdybym był odważniejszy, zacytowałbym jej słowa Hillary Clinton o Billu Clintonie: „Tego psa trudno utrzymać na werandzie”.

Na szczęście Vita od czasu do czasu traciła wrodzony chłód, godność królowej Saby i delikatność (Beduini wozili saluki na wielbłądach, żeby nie poparzyły sobie łap na gorącym piasku) i wtedy się zaczynało. Wygarniała Kazbekowi wszystko. Z ich wspólnego balkonu, położonego po sąsiedzku, wydobywały się szczeki pełne wyrzutów o nudę, resztki z wczorajszego obiadu i udawane orgazmy.

Jacy oni byli piękni. On czarny i kudłaty, zdolny wypatrzeć ciemnozłotymi oczami w kształcie migdałów każdą sukę w rui, wywahać ją z odległości kilometra, a później wsiąść w odpowiedni autobus z przystanku pod blokiem, aby oddać się miłosnemu polowaniu. Cholerny Kazbek. Żadna mu nie odmówiła.

Z wyjątkiem urażonej żony. Nawet kiedy ją błagał, nieodmiennie oczarowany jej syrenim urokiem i płową sierścią, krótką na grzbiecie, a przy uszach układającą

się w loki Venus Botticellięgo. Czarny Książę i Belle de Jour (wbrew rodowodowi). Cholera z nimi!

Od czasu do czasu, niczym błędny rycerz, próbowałem sprowadzić Kazbeka na właściwą drogę. Najczęściej kpił ze mnie, gdy zostawaliśmy rozdzieleni zakurzonymi drzwiami autobusu. Lisi pysk za szybą z pleksi. Niekiedy szedłem w zaparte i wskakiwałem w kolejny bus jeżdżący na odpowiedniej trasie. Trochę mi się nudziło. Od czasu do czasu też musiałem zapolować na własny sposób.

– Świnia! – darłem się na Kazbeka, kiedy pojawiał się pachnący seksem i satysfakcją.

– Eee tam, junak.

– Wracaj do budy.

– He, he.

Tamtego dnia nie wiedziałem, na kogo się gapić: na Kazbeka czy znikającą właśnie w jednym z zaułków śliczną dobermankę. Popatrzyłem na te twarde i gibkie mięśnie grające pod błyszcząco gładkim futrem. Aż trudno było uwierzyć, że ta krzyżówka wyszła sto lat temu „spod ręki” Ludwika Dobermana, który – kiedy nie bawił się w psiego swata – był poborcą podatków!

Kiedy kontemplowałem o chwilę za długo to, co kontemplować przecież należało, na ulicy pojawił się patrol straży miejskiej. Doprawdy, jak my musieliśmy wyglądać w ich oczach. A raczej ja, bo charty od razu chwytają za serce, czego nie można powiedzieć o podirytowanym, zbryzganym własną śliną bloodhoundzie, który w dodatku śpiesznie wychodząc z domu, zapomniał obroży, smyczy, kagańca i dowodu osobistego Laury.

– To na razie – Kazbek nawet nie próbował się z nimi zaprzyjaźnić. Uciekł, pozostawiając mnie na – było nie było – „polu bitwy”. Nie próbowałem go gonić, żaden pies będący przy zdrowych zmysłach nie próbowałby tego zrobić. Ciało charta zadrżało, łapy oderwały się od ziemi, tułów zgiął się jak scyzoryk i tyle go widziałem. Co zaś się tyczy straży miejskiej, wiedziałem, że spróbuję ich przegadać.

Wylądowałem w jakimś obskurnym psim komisariacie, zastanawiając się: stacja końcowa czy miejsce przesiadki? No i gdzie jest Laura?

W klatkach obok (bo zamknięto mnie w klatce, a właściwie wciśnięto, zważywszy na mój rozmiar) siedziały szczekliwe psiaki pogubione przez staruszki, będące wyzwaniem dla geriatricy, para psychopatycznych pitbulli z nielegalnej hodowli, chyba piątka labradorów, które w zabawie zgubiły koniec smyczy, zafrasowany pudel i pachnąca Kazbekiem dobermanka. Miałem na tyle rozumu, żeby jej nie pozdrawiać. Rzuciłem się do przodu, wrzeszcząc:

– Lauro! Lauro!

Czy bardzo jest wściekła? Czy jeszcze mnie kocha? Czy otworzyła na swoim starym PC moją podobiznę, wydrukowała ją wraz z informacją o zaginięciu i teraz przyszpila kartki do drzew, raniąc swoje szlachetne palce? O Lauro!

Zgodziłaś się mnie wykastrować, ale nie przyszło ci na myśl, żeby wydziergać mi na ucho identyfikacyjny tatuaż. Zaprawdę, oszczędziłaś mi bólu.

Tatuaż i psi paszport – tego wymagano przy włoskiej odprawie od zwierząt przekraczających granice. Cóż, nie dla mnie Schengen! Nie chciałaś pofrunąć do matki, licząc na to, że ona wcale nie ma ochoty porzucać Rzymu, Neapolu, Florencji czy czego tam, by odwiedzać cię regularnie na stołecznym osiedlu, i posłużyłaś się mną. „Mamo, nie zostawię Albrechta”. Miłość wcale nie jest ślepa! „Nie mamo, nie ma paszportu ani tatuażu”. „W hotelu dla psów? Mamo, Albrecht by się tam zanudził na śmierć”. No tak, tu nie nudziłem się wcale. Patrzyłem na psy, które wracały do swych panów. Najpierw dobermanka, w ramiona dużego i silnego (ma się rozumieć) starca, który okazał się ambasadorem i gadał po turecku. Całkiem niezłe kazanie. Pudła też już nie było, ale musiałem przysnąć, bo przegapiłem, kto i kiedy go zabrał. Po labradorki przychodzili chmurni rodzice i zapłakane dzieci. Dziarskie babcie odbierały swoje ślepe od katarakty, włochate wnuczeta. A Laura? Czy skojarzono moją nieobecność ze zniknięciem Kazbeka? Czy ten drań wrócił? Mam nadzieję, że tak. Czy w ogóle ktoś mnie szuka? Gwarantuję, że w jednym jedynym miejscu bloodhound robi większe wrażenie niż chart – w autobusie! Ktoś musiał mnie widzieć! Ktoś musiał pamiętać! Kręciłem się nerwowo na każde skrzypnięcie drzwi. Wachlowałem uszami na dźwięk telefonu. Koledzy, przyjaciele, bracia – pomóżcie! Nawiązałem telepatyczny kontakt z Tofikiem i resztą. Reszta... W końcu w klatkach

zostałem tylko ja i dwa socjopatyczne pitbulle. Część obsługi wyszła i przygaszono światła.

No to kanał... Raz widział ją w kościele, raz nie odkloniła mu się na ulicy, raz na pogrzebie – własnym pogrzebie?

– Tym razem cię zamorduję, Al. – Laura zagłada do klatki. Oczy ma czerwone od płaczu.

– Choćby zaraz, kochanie – zacząłem, w jednej chwili przyjmując postawę barona Sachsa-Masocha, miast Laury widząc Wenus w futrze. Nerwowy impuls przebiegł mi po grzbiecie.

– Ja nie żartuję, Al.

– Cześć, chłopaki – szczeknąłem do pitbulli.

– Lepiej, żeby ona cię zabiła niż my – warknął jeden.

Zgodziłem się z nim, ale przecież psy nie zabijają psów. Chyba że w imię wyższej konieczności.

– *Buonanotte* – życzyłem im. I dodałem szpetniejszemu prosto w pysk: – *Morituri te salutant!*

Pozdrawiają cię idący na śmierć! Możliwe, że byłem zbyt wielkim optymistą.

Nieruchomy dalmatyńczyk wyglądał jak marmurowy kuros, piękny i równie martwy co sokratejska Grecja...

Była niedziela. Obudziłem się i od niechcienia zacząłem lizać to swój brzuch, to nogi Laury. Nawet jej się spodobało. Chichotała i zaróżowiła się przez nieprzerwany hałasem budzika sen, zupełnie jakby jej stopy pieścił Daniel Craig. Ech, marzenia... W każdym razie była niedziela i spodziewałem się tylko obezwładniającej weekendowej nudy, okraszonej pod wieczór wyczuwalnym smrodkiem stresu tych wszystkich, którzy w poniedziałek znowu mieli iść do roboty. Do wieczornych wiadomości zaś z uporem maniaka starali się zrealizować swój ścisły plan weekendowego wypoczynku. Na zdrowie. Laura, zaskakująco mądrze, w ten boży dzień chciała tylko spać, a później pluskać się w wannie. Rozbolało mnie wędzidełko pod jęzorem, ale wiedziałem, że akurat w ten dzień tygodnia trzeba mocniejszych doznań, żeby panią choć na chwilę wywalić z łóżka. Pozostawiałem to



proboszczowi i jego elektrycznym dzwonom. Zerknąłem na zegarek – jeszcze kwadransik i z poświęconych głośników wyniesionych do nieba na porzuconym ramieniu budowlanego dźwigu (tak, tak) rozlegnie się takie tubalne dzwonięcie, jakby proboszcz nie wzywał na mszę, a co najmniej odstraszał legiony Czarnej Śmierci. Grzesznicy wraz ze swoimi grzechami staną na baczność. Musiałem wtedy jedynie wymusić na oszołomionej Laurze, żeby otworzyła przede mną drzwi. *Pronto, pronto*, nim zmieni się w wiedźmę, która będzie chciała wyrąbać ścieżkę łaski na moim grzbiecie reklamową gazetką. Czy ja jestem chłopcem do bicia? Czy ja jestem podobny do proboszcza? Do któregośkolwiek z nich? Może do Seana Connery’ego z *Imienia róży*?

Na zewnątrz czekał już na mnie Tofik. Niedzielne spacerowanie traktował jak seanse komedii slapstickowych, w czasie których psa do łez rozśmieszają ludzie, próbujący w egzotyczny czy po prostu dumny sposób zagospodarować sobie czas wolny. Kiedy się na nich patrzy, zabijających się na rowerach, ganiających bez tchu po kasztanowej alei, rzucających boule niczym francuscy starcy, czy wreszcie wytrząsających flaki na pobliskiej górze przerobionej na tor żużlowy, można uwierzyć, że te nagie mały przez przypadek podbiją wreszcie Marsa. Tylko wara od Syriusza!

Tofik był na tyle nieprzyzwoity, że śmiał się nie tylko z ludzi, ale i z innych psów. Cóż, nasz gatunek też wydał jednego i drugiego nawiedzonego wariata.

– Jeremiasz wyszedł na spacer. Idziemy popatrzeć? – szepnął basset konspiracyjnie.

– Bo ja wiem? – A jeśli szaleństwo przenosi się drogą kropelkową, ha?!

– *Cane che abbaia non morde* – szczechnął Tofik. – Psy, które szczeją, nie gryzą. – A ja mimowolnie zacząłem się zastanawiać, w czym jeszcze oprócz wkręcania łacińskich cytatów zacznę mnie naśladować, aby zaakcentować nasze domniemane podobieństwo.

– Ta sentencja nie dotyczy terierów – sprostowałem. Jeremiasz zaś był terierem, a dokładniej: terierem gryfikiem. Szczerze mówiąc, nie wyglądał ani jak gryf, ani jak pies. Malutki i głośny, ze sterczącą gęstą brodą, która się elektryzowała. Bóg wie od czego, brwiami, które w połowie opadały mu na oczy, a częściowo

sterczały w niebiosa jak anteny, no... najbardziej przypominał zaciętrzewionego biblijnego proroka. Tyle że jemu rola posłańca nie odpowiadała, on lubił wcielać się w samego Pana. Skąd on się urwał? Nikt nie wiedział. Kim był? Co plątało mu się tam pod czaszką, której kształt sugerował epileptyka? Kosmiczna cisza. W każdym razie miał imię, czyli był. Gdyby nie istniał, choćby dla tych niedzielnych poranków należało go wymyślić. „Jam jest, który jest!”

– Idziesz, Al?

Przyśpieszyliśmy kroku, żeby się nie spóźnić na biblijne miotanie piorunów, które właściciela Jeremiasza, skądinąd sympatycznego młodzieńca, zamieniały w krzew gorejący, zapalony czerwienią policzków. Jeremiasz, jak każdy konus przesadnie dbający o swoje zdrowie, uważał, że świeże powietrze niechybnie go zabije. Wyciągany na spacer, najpierw macał łapą trawę, jak ktoś przed wejściem do lodowatej wody, potem zamykał wypukłe oczęta i rzucał się na to pole minowe, usadzając co swoje. Otrząsał się i zaczynał wyć! Czasem dla efektu, kiedy na zewnątrz nie było ani za ciepło, ani za zimno, ani za sucho, ani za wilgotno, przewracał się na plecy i stymulował atak godny Dostojewskiego. Zawsze zaś, niby mały wielki bóg, złorzeczył człowiekowi! Dziś wystąpił z monologiem z Genesis. „Nie będę już więcej złorzeczył ziemi ze względu na ludzi, bo usposobienie człowieka jest złe już od młodości. Przeto już nigdy nie zgładzę wszystkiego, co żyje, jak to uczyniłem”.

Oj, musiał być zmęczony. To pewnie przez ubranko. Pies w moro wygląda jeszcze gorzej niż pacyfista w moro, a właśnie taki sexi-plexi kombinezon Jeremiasz miał na sobie. Ściśle przylegający, z długimi nogawkami, iście kałesonowym otworem na pupę i niepraktycznym, moim skromnym zdaniem, zupełnie niepotrzebnym wycięciem na łeb. Jakby tego było mało, stroju dopełniał różowy szaliczek.

– Tofik, nie śmieję się z niego. Tu trzeba płakać – powiedziałem w złą godzinę, bo choć wyszliśmy w poszukiwaniu rozrywki, to czekał na nas płacz i zgrzytanie zębów.

„Dlaczego on się nie rusza?!”

Nad stygnącym ciałem dalmatyńczyka Aleksandra zebrало się niemal całe okoliczne psie towarzystwo. Założę się też, że całe psie towarzystwo wolałoby znaleźć się gdzie indziej. Był owczarek szkocki o jakże oryginalnym imieniu Lessie. Była Sybille, która tuliła się raz do mnie, raz do Tofika, bo suchy płacz, który nią wstrząsał, wprawiał jej pulchne ciało w ruch wahadła. Bokser Rolf i wyjątkowo głupi (wyjątek potwierdzający regułę o mądrości pudli) kudłaty Węgier Istvan. Milczący pinczerek Kajtek. Yossarian, cały blady pod sierścią. Jamniczka Dąbrówka, charty, ruda seterka, którą pierwszy raz widziałem na oczy. Yorki, pumi Władek, berneńczyk Byron, chory na kulawiznę. Wyżlica Sara, maltańczyk, hawańczyk i bolończyk. Grzywacz chiński... Oczywiście były i kundle. Ale mało, w końcu znajdowaliśmy się w najbogatszej dzielnicy miasta, w której rasa psa świadczyła o miejskim statusie właściciela, tak jak zegarek omega na nadgarstku. Skuczała więc shar-peika Orchidea, która nawet nie podejrzewała, że jej pani kupiła ją, bo jasna sierść suczki idealnie komponowała się z jej blond grzywą. „Uszy jak muszelki, nos jak motylek, głowa ukształtowana jak melon, twarz jak u babci, szyja jak u hipopotama, zad jak u konia, nogi jak u smoka” – takie standardy ustanowili starożytni chińscy kynolodzy, co bardzo zaszkodziło shar-peiom, choć bynajmniej nie w kwestii wyglądu. Po upadku dworu cesarskiego ich ciała na rozkaz Mao pokryły dywanem plac Tiananmen. Raz psy, raz wróble. Czyżby zawodzący gryfonik miał rację? Widziałem, jak kaukazowi Benowi zbiera się na mdłości – zupełnie jakby zapomniał, że jego wujowie na równi z zasiekami zabezpieczali mur berliński... Psy duże i małe, mądre i głupie, chłopcy i dziewczęta, a każdy z ogonem albo choćby kikutem ogona trwożnie wciśniętym pomiędzy pośladki.

– Dlaczego on się nie rusza? Dlaczego on się nie rusza? – jęczał Yossarian, który po raz kolejny odłączywszy się od swojej pani, miał wątpliwą przyjemność odnaleźć zwłoki. Biedny mały. – No, zróbcie coś! Zróbcie!

– Zamknij pysk – warknął jakiś senior. – Bo za chwilę zaroi się tu od ludzi.

– I co z tego? I tak w końcu przyjdą nas szukać – burknąłem. Wybitnie nie byłem w sosie.

– Zróbcie coś! Zróbcie!

– Niech ktoś odprowadzi Yossariana do domu – szczeptałem. – Byron, ty!

– Bo co? – Dziwny pies z tego Szwajcara, raz serdeczny pasterz, raz kulawy diabeł *made by* Jezioro Lemańskie.

– Bo pewnie zechcą ci towarzyszyć panie. To nie jest widok dla dam. – Trochę go ugłaskałam, a kiedy część towarzystwa oddaliła się, podszedłem dokonać obdukcji zwłok. Jaki on piękny, nasz Królewicz, zupełnie jakby jego matka zamówiła u wróżek, żeby jej syn był biały jak śnieg, czarny jak noc, no i czerwony jak krew... Krwi nie było, a przynajmniej tak mi się w pierwszej chwili wydawało. Dyszałem, wciągając w nozdrza zapach stęchlizny, którą podpisywała się śmierć. Dalmatyńczyk wyglądał jak feralna ofiara wypadku drogowego. Czy jednak uderzenie nawet potężnego pickupa zdołałoby odrzucić ciało tak daleko od naszej częściowo betonowanej drogi, że łukiem minęło rów i wylądowało w krzakach? Kark psa był złamany i choć ciało w ciągu najbliższych pięciu godzin zeszywnieje, to głowa przy byle dotyku będzie upiornie przekręcać się na boki...

– Trzeba zawiadomić jego właścicieli...

– Tofik, kiedy znikniemy, przyprowadź tu swojego Maklera. Narobi wrzasku, jakby spadł wskaźnik Dow Jonesa.

Westchnąłem i przysunąłem swój pysk, by na kufie Aleksandra złożyć ostatni pocałunek.

– Śpij, mój książę.

Nagle mnie poraziło – krwawe wybroczyny prześwitujące przez rzadką sierść wokół oczodołów mówiły: on został uduszony! Kark złamano post mortem. *O tempora, o mores!*

– Co jest, Al?

*Assassinio!* – ujadła moja dusza, ale postanowiłem to na razie zostawić dla siebie. Czy może nie miałem odwagi podzielić się z innymi swoim okrutnym spostrzeżeniem? Niedokonanie wyboru samo w sobie jest wyborem.

Nie żebym był jakimś zazdrosnym mężem, ale... W końcu chodziło o miskę, spacer i poduszkę. A mówiąc krótko, stało się to, czego obawiałem się od pewnego czasu: Laura tak długo siedziała w sieci na serwisach randkowych, aż wyklikała sobie

samca. Ona wyklikała, ja będę wyklinał. Cóż, są kobiety, które nie potrafią żyć bez seksu, a Laura do nich należała. Co zresztą będę jej żałował niczym przysłowiowy pies ogrodnika? Tu chodziło o coś innego niż o zazdrość. Każde pojawienie się kolejnego faceta zaburzało delikatną równowagę w naszym stadzie. Poczułem, że ze złości cierpną mi zęby. To było zgoła wczesne stadium irytacji, o tak, ale kiedy zaczynały swędzieć uszy, wtedy samo Piekło drżało przed Albrechtem! Prawda, że ładnie powiedziane? Prawie jakbym był starożytnym mędrcom, który rzekł: „Glina posągu wyobrażającego Buddę musi być wspaniale pozłocona, a kobieta pięknie ustrojona”. A zamiast filozofować mógł robić coś pożytecznego i dajmy na to przyglądać się pasącej krowie.

Laura zdecydowanie wybierała się na randkę. Ubrała się, pomalowała, a co najgorsze, uprzednio wydepilowała sobie nogi i bikini. Zasłoniłem uszy – tak się darła pod rozgrzanym woskiem. Zasłoniłem oczy, kiedy zamiast w jakieś bawełniane majtasy, które córkom polecają wszystkie mądre matki, wcisnęła się w mikroskopijne stringi. Jak nie szykowała się na upojną noc. Nabrzmiałe w konsekwencje pytanie brzmiało: u nas czy u niego? Może Laura była kobietą wyzwoloną, ale nie na tyle, aby „after” wywalać kochanka z domu i kazać mu wracać we własne pielesze. Ona chciała się jeszcze poprzytulać – ale na moim łóżku! Jakiś fagas miał spać na mojej poduszce! A ja? W łazience? Na tarasie? Doprawdy, jak sami widzicie, nie kierowała mną zazdrość – to był „spór terytorialny”. Nasze M było kawalerką, więc każda seksualna noc Laury oznaczała dla mnie garowanie w jakimś ciasnym, zimnym lub wilgotnym pomieszczeniu. Szczególnie że jej faceci, widząc moje słuszne rozmiary, nalegali, aby „odsunąć mnie od sprawy”, zupełnie jakbym był gwiazdą hard porno, a nie biednym pieskiem, który pragnie tylko zabiegać o swoją podusję. Dobrze, przyznam się, że jednego szczególnego osła (nawet nie zdjął obrączki) w kulminacyjnym momencie ugryzłem w dupę, po prostu. Zawył, a Laura, nim zaczęła chichotać i szukać plastra, miała orgazm stulecia. Ale czy ktoś to docenił? Laurze zależało na tym dwulicowym wymoczku, a jak łatwo się domyśleć, nie pojawił się już więcej w naszych gościnnych progach. Inny wypił wcześniej co nieco i zamiast dobierać się do Laury, zaczął obmacywać mnie, kiedy tylko dyskretnie

wcisnąłem się pomiędzy parę... A wiecie, Laura to naprawdę potrafi być zazdrosna. Szczególnie jeśli ktoś z głupkowatym uśmiechem rozkoszy pieści zamiast niej owłosioną psią łapę. Cóż, regularne wywalanie kochanków z łóżka nie jest nadzwyczajnym dokonaniem. Zwłaszcza że metoda jest dziecinnie prosta. Laura śpi od ściany (boi się, że jeśli spuści stopę, to Potwór spod Łóżka ją jej odgryzie, ale w rzeczywistości co najwyżej może wpakować palce w zastygłą pizzę), a jej aktualny kopulator z brzegu materaca. Wystarczy zatem wepchnąć się pomiędzy Laure a gładz gipsową, napiąć mięśnie, wyprostować łapy i... facet kończy na podłodze.

– Albrecht, co my z tobą dzisiaj zrobimy? – zapytała Laura bardziej samą siebie i trochę retorycznie, bo równocześnie sięgnęła po przedmiocik, który trochę mnie zainteresował (byłem akurat znudzony). Wyglądało to jak elektryczny nawilżacz lub trucizna na owady, które wciska się do kontaktu. Czyżby Laura poszła po rozum do głowy i postanowiła ukatrupić trutnia?

Na kartonowym opakowaniu widniał głęboko śpiący, głupkowaty pies z kreskówki. Wokół jego głowy strzelały race, a on nic, śpi... Pudełko śmierdziało.

– Feromony twojej karmiącej mamusi. – Laura poklepała mnie po głowie, kiedy tylko boleć zaskoczył w kontakcie. – Uspokoją cię.

Chciałem się odgryźć, że jeśli mają mnie uspokoić tak, jak perfumy matki Laury uspokajają Laure, to raczej niepotrzebnie się wykosztowała. Nie szczeknąłem, bo nagle zabrakło mi siły do otwarcia pyska.

Nie za bardzo pamiętam, co było dalej. Tylko trochę. Byłem dorosły, ale tego mogłem się domyśleć. Ktoś rozbił cegłę na mojej głowie. Na sercu. Na duszy. Serio. Leżałem na lewym boku i wiedziałem już, skąd wzięło się powiedzenie o kamieniu spadającym z serca. Tylko że kamień, który znalazł się w mojej klatce piersiowej, wcale nie chciał spaść. Ba, miałem wrażenie, że jeszcze moment i w ogóle przestanie się poruszać... *Mamma mia!*

Budda: „Czas mija jak trzaśnięcie bicia”.

Kurwa, czemu Laura jeszcze nie zapaliła papierosa, czemu nie zapala światła! Co za ogier jej się trafił? Życzyłem im z całych sił pęknięcia prezerwatywy! Ludzie, zróbcie coś! Byłem oszołomiony, otruty! Straciłem dziewictwo – nie licząc zzartych

raz fusów po kawie, nigdy nie znalazłem używek. Pilnowałem się. Narkotyki? Nie wchodzi w to! To dla młodszych. Jak dla tego czarnego labradora spod siedemnastki... Wychowywała go para hippisów, przynajmniej dopóki nie wylądowała „za obrót” w Zamknięciu. A labrador został świadkiem koronnym. Teraz pewnie obwąchuje swoim koneserskim, głodnym ćpania nosem torby podróżnych na Okęciu, wysłuchując pogadank politycznych:

– Co pies jeee...!!!

– Pies jeee... obrońcą naszych granic.

Pomimo Schengen.

Odpywałem. Pomyślałem o ostatecznej granicy, a później sfiksowany umysł przypomniał sobie zapiski starego francuskiego hrabiego, który w czasie oblężenia Paryża przez Prusaków musiał zjeść swojego spaniela. „Nie czuję się jak człowiek” – dał upust swej goryczy w *Pamiętnikach*. Spaniel w potrawce zapewne nie czuł się jak pies. Ale teraz musiałem zająć się sobą. Czyżbym umierał? Już?! Cholera jasna!

LAURO!

– *Sia saluto, signora...*

Była przy mnie. Szarpała mnie za sztywne łapy, ale pilnowała się, aby być odwrócona tym ładniejszym profilem.

– Otrułam go! Otrułam!

Ech, czyżbym zobaczył łzę?

Jej kochanek miotał się, aby ze śmieci wyciągnąć opakowanie po truciznie...

– Podamy ich do sądu. Niech tylko umrze... – w kolejnym, jakże rozpaczliwym przeblysku czekającej na styksową odprawę świadomości dotarło do mnie, że Laura przygruchała sobie prawnika. Pewnie będę musiał umrzeć, aby jej kochaś się wykazał. Przymknąłem oczy.

– Nie!

Co było dalej? Na drzwiach mnie ponieśli? Ciemność, ciemność widziałem, a później nic.

– Dotrzymasz mi towarzystwa? – spytałem Tofika. Zgodził się od razu, choć początkowo nie garnał się do dalszej rozmowy. Popatrywał na mnie, a kiedy

przyłapywałem jego spojrzenie, udawał, że spogląda na napuszone ptaszki i przemarzniete suczki. Nasz oddech znaczył parą powietrze – był to dla mnie namacalny znak, że żyję. Mniejsza z bólem cierpiącej łapy, z której wenflony zrobiły naturalną poduszkę do igieł.

– Co? – warknąłem, bo cierpienie jakoś specjalnie mnie nie uszlachetniło.

– Ciężko było... – pisnął basset. Gdybym tylko mógł, wzruszyłbym ramionami. Ponieważ nie wyczułem pytania, uznałem, że wszystkie okoliczne psy już wiedziały, że miałem bliskie spotkanie trzeciego stopnia ze świętym Piotrem. Niezbyt mi się to podobało. Nie żebym przesadnie grał twardziela, ale byłem wstydlivy i kiedy pomyślę o tym, co zrobiono z moim bezwładnym cielskiem... Umarłem w niedzielę i urodziłem się w niedzielę. Medyczni ratownicy tak mnie wytrzęśli, wybebeszyli i przepuścili przeze mnie tyle kolorowych płynów (mam nadzieję, że nie stosowali obiegu zamkniętego), jakby w ogóle tworzyli mnie od nowa... Tyle że ja wcale nie czułem się jak nowo narodzony.

W dodatku narobiłem sobie zobowiązań u obcych, którzy w pewnych intymnych, powiedziałbym, okolicznościach przestali być dla siebie obcymi. Sebastian, ten adwokacina, został nie tylko moim osobistym kierowcą, ale spod na wpół przymkniętych powiek widziałem, jak niczym dobra mamusia mokrą gąbką przeciera mi łapy, pachy, brzuch i pupę, kierując się dalej ku końcowi ogona... Niestety nie mogłem udawać zamroczonego, kiedy mecenas Sebastian brał się do czyszczenia moich zębów – aż nos zamienił mi się w wielkie urządzenie do puszczania mydlanych baniek. Laura w tamtym okresie była zajęta kościelną pokutą na równi z sesjami psychoanalitycznymi, które miały ją rozgrzeszyć z tego, że prawie wysłała swojego czworonożnego przyjaciela na tamten świat i to w sposób, który pośmiertnie nie gwarantowałby mu znaczka pocztowego, jaki miała Łajka.

Adwokacina ujął mnie nieco, zwracając się do mego zmarnowanego psiego pyska:

– Cześć, chłopie.

Może nie widział we mnie superkonkurenta (ledwo zipałem), ale też nie eunucha. Nie obraziłem się nawet o psią leżankę na toczonych nóżkach, na którą



wykosztował się w Ikei. Zignorowałem ją, razem z koroną, którą wyhaftowano na obiciu. Wszystko się zmienia, pomyślałem melancholijnie, z wyjątkiem głupoty ludzkiej. Niedzielny spacer mój i Tofika dostarczał tych samych cotygodniowych wrażeń. Ludzie na różne sposoby próbowali okaleczyć ciała swoje i swoich pociech. W bolesnym, a jakże jałowym trudzie siódmego dnia stworzenia próbowali pozbyć się narosłego tłuszczu, kaca i pieniędzy z portfela. Do kontaktu z naturą podchodzili z taką żywiowością, że każde najmniejsze drzewko w naszym lesie powinno czuć się zgwałcone, a każdy grzyb zbajerowany. Wszystkie orgazmy były udawane. Aż chciało się przypomnieć na głos, że słowo „taktowany” pochodzi od łacińskiego *tactus*, czyli dotknięcie. Ludzie, dzieci, psy, słońce – w niedzielę wszystko było jakies rozstrojone. Z wyjątkiem dzwonów księdza proboszcza i jego hodowlanych gołębi, które fruując spiralały i po kole, srały na ścieżkę bardziej umiejętnie i z większą fantazją niż Pollock na płótno... Sielanka.

Mściwie (co odnotowałem z pewnym niesmakiem) zastanawiałem się: a gdyby odebrać ludziom ich beemwice, którymi podjeżdżali na sam skraj lasu, by opuściwszy skórzane siedzenia, w trykotowych gatkach oddawać się euforii weekendowego joggingu? Zabrać im karty kredytowe, komórki, hubkę i krzesiwo, sputniki i satelity, kijki treekingowe, air-niki, rowery – i w samych skarpetkach puścić do lasu... Z drugiej strony czyż nie oznaczałoby to jednoznacznego pożegnania z pełnymi miskami o określonych porach, opieką dentystyczną, subtelną eutanazją na starość, pomocą okołoporodową dla suczek, ratownikami medycznymi i miękkimi łózkami, zaopatrzonymi w równie miękkie poduszki? OK, powinienem być większym egalitarystą, pamiętać o łańcuchach, budach, wiwisekcjach, ale... egalitarystą nie byłem. Ani komunistą. Ulubionym psem Lenina była łajka zachodniosyberyjska. Dobrze że nie pies św. Huberta...

Czy gdybyśmy – goli i głodni – wrócili do lasu, to od nowa bralibyśmy się za to całe wzajemne udomowianie? Czy może podzieliliśmy los dinozaurów? Pat i Pataszon, także pies pasował do człowieka.

Wciągnąłem świeże powietrze i ucieszyłem się, że mieszkając na sztucznie utrzymywanych peryferiach, mogę jeszcze w miarę swobodnie przy wejściu do lasu

trzasnąć kupę, nie narażając delikatności Laury, która normalnie to parujące paskudztwo musi sprzątnąć swymi filigranowymi palcami lalki. A propos lalek: bliżej metra pojawiły się kosze na odpadki psiej przemiany materii, na których do utrzymywania miejskiej czystości zachęca Barbie. Serio. Ciekawe, ile jeszcze godzin upłynie w rzece czasu, nim do tej czynności będzie zachęcał taki Gandhi... Wtedy osobiście nauczę się gaworzyć i robić do ceramicznego nocniczka, byle z namalowanym koteczkiem na froncie.

– Al?

Potrząsnąłem łbem. Ciekawe, jak długo będą utrzymywały się skutki narkozy? W każdym razie wzywający mnie do rzeczywistości basset wyglądał na zaniepokojonego, aż poczułem się... Poczułem się szanowany niczym Ostatni Don.

– Albrecht! – wrzasnęli jednocześnie Tofik, Laura i Sebastian, wszyscy po swojemu. Odskokczyłem na tyle szybko, że ledwie o włos minęły mnie końskie kopyta. Koń w moim lesie? Nasze spojrzenia się spotkały – a raczej wejrzałem w odbijające moją wychudzoną sylwetkę końskie oko. Pomyśleć, że konie mają mózg wielkości orzecha laskowego. Pomyśleć, że mogliśmy wylądować w jednej stajni... Głośno wypuścił powietrze przez chrapy, a później opluł mnie, zupełnie jakby był lamą, a nie koniem. Na jego grzbiecie siedziała dziewczynka w czerwonym kostiumie do konnej jazdy, która popatrzyła na mnie triumfalnie. Zupełnie nieszczerze życzyłem jej losu Bonnie Butler.

Laura dopadła do mnie i zaczęła wycierać końskie wydzieliny higieniczną chusteczką. Dlaczego nie jedwabną, z monogramem? Dajmy na to haft „DOG” i drzewo oliwne? Laura (niekiedy z Sebastianem) chodziła za mną trop w trop – jak rozumiem po to, żebym znowu się nie wpędził (ja?!) w jakieś kłopoty. Nie pozwoliła mi nawet biegać samopas z Tofikiem. Niedzielny spacer: w pierwszej parze psy, w drugiej bodyguardzi na dwóch nogach.

– Och, Al! – zobaczyłem, że Tofik ma bardzo smutny pysk, smutny nawet jak na basseta, który zawsze wygląda jak klient wypuszczony z alkoholowego odwyku.

– Sorry. Jeszcze parę dni i to matkowanie im się znudzi. – Żeby pokazać swoją niezależność, odbiłem w bok od drogi przechodzącej w leśny dukt, nazywany „aleją

starych dębów”, i z ujadaniem wpadłem na polne nieużytki. Dałem po hamulcach, kiedy zobaczyłem, że smęci się tam jakaś grupa studenciaków i coś mierzy żółtą taśmą. Czyżby nie było niedzieli?

– Niedługo nie będzie tu żadnych pomników przyrody. Wytną pewnie te dęby – usłyszałem Sebastiana.

– Nie, to wszystko wolne tereny, chronione przed zabudową. Precz z developerami!

No, ja myślę. Potruchtałem jeszcze do przodu, bo zwęszyłem zapach seksownej Sary, wyżlicy. Nim zobaczyłem ją i jej ludzką rodzinę, dotarł do mnie wrzask dziecka. Sara zabrała roczniakowi piłkę, wywracając go na drodze. Patrzyłem z uciechą, jak pan wyżlicy z wypiekami na twarzy tłumaczy:

– Bardzo przepraszam, ona ma taką samą w domu. Niedobry pies. Niedobry piesek – kolejny kłamczuch bez talentu.

– No, mała, piłka jest teraz po twojej stronie. Możesz ją miękko oddać, z uczuciem – szczeknąłem do Sary.

Przyczłapał Tofik i stanął za mną, zupełnie jakby był moim cieniem.

– Co jest? Co za robal cię zre? – zapytałem Tofika. Pachniał smutkiem.

– Sybille...

– Właśnie, co u niej?

– Została otruta.

Sybille? Ta Sybille? Puszysta i okrągłutka słodka Sybille? Kędzierzawa kopia Sugar z *Pół żartem, pół serio*? Moja Sybille?!

Niech zagotuje się krew zbrodniarzy! Obudziły się we mnie (do diabła z rodowodem, który wszakże wymyślił człowiek) geny fili brasileiro, najbardziej krewkiego z psów. Odchyliłem głowę do tyłu i zawyłem, aż wszystkim w pięty poszło!

– *Carthaginem esse delendam!*

Zginie Babilon.

Kiedy czai się śmierć, ludzie (i nie tylko oni) biorą się za miłość. Dwugłowe zwierzę napędzane przez parę Eros i Tanatos. Dobry stary Freud wiedział, co pisze.

W końcu miał w swej pracy idealną towarzyszkę. Właściwie to wszystkie pomysły pochodziły z jej kudłatej głowy. Nie wierzycie? Jeszcze mi nie wierzycie?

A mieliście kiedyś psa? Albo spytam inaczej: byliście kiedyś u psychoanalityka? Psychologa? Psychiatry? A może zaprowadziliście tam swojego czworonoga?

Jofi, suczka chow-chow, mogła uczestniczyć we wszystkich prowadzonych przez Freuda sesjach. Doktor bardzo liczył się z jej zdaniem. Mogła leżeć pod magiczną kozetką, mogła spać w łóżku z Freudem, na co Doktor nie pozwalał własnej żonie. Jofi, towarzyszka tych wszystkich dni, tych wszystkich snów. Ach, gdyby Sybille była tak mądra jak panna J! Gdyby potrafiła być taka cięta, gryźć głęboko jak chow-chow, być nieufna wobec obcych. Ale z tą rasą łączył Sybille tylko wygląd: słodkiej, puchatej, rudej zabawki. O, nienasycona wiewióreczko! Bodajbyś w niebie miała wiele batoników, takich, od których nie matowieje sierść. A na ziemi?

Laura i Sebastian robili swoje, a ja byłem tak przybity, że nawet nie chciało mi się przeszkadzać. Zresztą po co? Poduszka była bezpieczna, pieprzyli się pod ścianą. I dobrze, że wybrali akurat ścianę nośną. Dobrze, że innej nie było. Westchnąłem, opierając łeb na łapach.

– On nigdy tak się nie zachowywał.

Ja? Chciało mi się płakać, albo przynajmniej nucić temat z *Love Story*. Nie, z... *Maratończyka*? *Absolwenta*? *Ojca chrzestnego*? Jak to zapisano w Biblii: „Ciężka jest głowa króla, który nosi koronę”. Nie byłem królem, ale mój łeb... mój łeb to był łeb! Jak stodoła. Czuję się jak w stodole, na sianie... Ech! Światło księżycy świeciło mi prosto w pysk tak intensywnie, że musiałem zmrużyć ślepią. Otruta Sybille, uduszony Aleksander... Kto posiał wiatr, ten zbierze burzę. Tylko kto to był, do kurwy nędzy, i po co to zrobił?

Cytując Bóg wie kogo: „Mózg ludzki posiada swój własny rozum”. A więc podejrzewałem człowieka. Kogoż by innego? Przecież nie Jeremiasza!

Niestrudzeni kochankowie przetoczyli się na łóżko. Już miałem wstać, kiedy prawnik błysnął inteligencją i rzucił mi moją poduszkę. Dobra, niech będzie. Pozwoliłem łapom się rozjechać. Pozwoliłbym na wiele więcej. Pieprzony aspekt żałoby. Łatwiej płakać, niż choćby ugryźć golca w tyłek.

Czekolada uszczęśliwia – zaszczypało mnie pod powiekami. Głosy, tyle głosów w mojej głowie.

„Fabrizio, Don Corleone przesyła ci pozdrowienia”.

Może jestem sentymentalnym głupcem, ale w o ile gorszej sytuacji są ci, którzy nie mogą tego powiedzieć o sobie. Czy nie obiecywałem mojej małej batoników? Czy nie planowałem przekonać Laury, że wściekle brakuje mi cukru albo że jest gruba i lepiej, żeby karton batonów upchnęła do szafki? Karton batonów, karton fajek, karton wina, nowa płyta Madonny – zawsze wiedziałem, kiedy jest przy forsie. I sama, bo w domu nie ma nawet jednej prezerwatywy... Sybille, wybaczone, że nie starczyło mi czasu.

Kiedy Laura poszła po gumki, wcisnąłem się za nią, najpierw budząc protest, a później chaos. Kierowany przez boga zemsty rąbnąłem batona „Mars” i podcinając nacierające na mnie posiłki wroga, rzuciłem się w długą. Szyba aż zadygotała, kiedy uderzyłem w nią czołem, ale drzwi puściły. Biegłem przed siebie, omijając w ostatniej chwili reflektory samochodów, aż dobiegłem do pola i spojrzałem w zaskakująco jasne nocne niebo. Gdzieś migotały światła boeinga.

– Sybille! – Powiedziałem. – Sybille! – Wierście mi albo nie, spodziewałem się odpowiedzi... – Sybille, czekolada uszczęśliwia.

Nie pozostało mi nic innego, jak wykopać dołek i zakopać tam batonik, licząc, że choćby jakaś jego esencja dotrze do małej... Sentymentalny głupiec? Może. Mam to gdzieś.

Powlokłem się z powrotem.

O szczęśliwy, żyłem, byłem w domu, pod brodą miałem własną poduszkę. Myślicie: czego pies może chcieć więcej? Że przypomnę – *animal est anima, capisci?*

Chciałem. Chciałem więcej.

Laura już nie. Laura się zmęczyła. Dym postkoidalnej fajki drażnił mnie w nos. Cmokali na mnie, a Sebastian nawet zagwizdał.

– Chodź do łóżka, Al.

O dziwo, żadnej rezerwacji miejsca z brzegu. Mogłem wejść pomiędzy ich

spoczone ciała. Co to znaczy, miałem się przekonać rano, kiedy obudziłem się obmacany i na pół zduszony. Ale teraz chciałem się tylko przytulić. Co zrobiłem z ukontentowaniem, na jakie stać takiego starego psa jak ja.

Cóż, w pewnej chwili należało dać spokój umarłym i zająć się całą pozostałą resztą. Waldo Emerson powiedział: „Martwi mają tę jedną przewagę nad żywymi, że nie muszą chodzić do dentysty”. Moim zdaniem mają ich więcej – nie muszą na przykład jeść.

Tymczasem ja i Laura byliśmy splukani. Wpadliśmy w wodospad bessy, przy którym Niagara to nic niewarty strumyczek pozostawiony na kamieniu przez pekińczyka. Laura się gryzła, bo nie mogła gryźć nic innego. Siedziała po nocach i o tym, że oddycha, świadczyło tylko rozżarzające się w rytmie „mayday, mayday” oko palonego w ciemności papierosa.

Depresja ekonomiczna dobijała, wszystko było *only cash*. Depresja ekonomiczna dobijała Laurę: czuła się stara, brzydka, niekochana i niepotrzebna. W dodatku nie wiedziała, w jakiej kolejności. Chwała Bogu, w porę przypominała sobie, że psy nie są aż tak doskonałe, by żywić się światłem słonecznym, i ruszała tyłek po moje żarcie. Upadała przy tym na cztery łapy, jak nie przymierzając... kot.

– Mam dziewięć żyć. A może siedem? – pytała lustro, wzdychając.

Czułem się w obowiązku przypomnieć, że mam żołądek, a nie mogę w nieskończoność obżerać Tofika (bo Makler zabierze go do lekarza) ani bezpieczeństwa kocurów (mniejsza z honorem, ale można dostać pazurem po mordzie). Szczeknąłem również, że Laura jest przecież właścicielką firmy PR, o jakże budującej nazwie Nahin Na. Wiecie, co to znaczy? „Nahin Na” to po hindusku „Nie”. Cóż, Laura nigdy nie była łatwą dziewczyną. Kiedy burczałem i mruczałem, że niektórzy mogą ją wziąć za Ksantypę, docierała do mnie też świadomość, że stawia mnie to w pozycji Sokratesa. „Nie cierpię Sokratesa, który potrafi wymyślać wszystko, tylko nie to, jak zaopatrzyć się w jedzenie” – obsmarował nasze dobre imię satyryk Eupolis. Ale on też był martwy.

W lodówce zostały dwie puszkę tuńczyka, w szafce – psie żarcie wegetariańskie z dwucyfrowo przekroczonym terminem ważności. Grożono nam

odłączeniem światła i telefonu. Laura dodatkowo dręczona przez zespół napięcia przedmiesiączkowego zastanawiała się, jak wyciągnąć z apteki tampony na kreskę. Jej popisowym numerem był skecz „Och, zapomniałam karty, a nie noszę przy sobie gotówki. Oddam te drobne jutro (albo za dwa tygodnie, bo wyjeżdżam na Florydę)”. Owe znikające grosiki często ratowały nam życie, że o humorze nie wspomnę... Cóż, na humor też trzeba móc sobie pozwolić.

Niemniej Laura musiała coś wymyślić, nim skończy się ostatnia paczka szluców. „Bielomory” przywiezione „na pamiątkę” zamiast brązowego popiersia Wodza Rewolucji z ojcowskiej wycieczki do Leningradu. Gdyby to wszystko nie groziło utratą zdrowia i życia, byłoby nawet zabawnie.

Prawdę powiedziawszy, byliśmy goli jak bezwłosy peruwiański inca orchid, bo Laura wydała całą kasę, aby podnieść niżej podpisanego kawalera na cztery łapy. Sama zaś złamana depresją, że mnie otruła, przepuściła parę zleceń, a w dodatku obraziła tego i owego klienta, mówiąc mu właśnie dosadnie to i owo (w nerwach zupełnie nad sobą nie panuje), czyli całą prawdę i tylko prawdę...

Specjalistka od PR, która nie potrafi zapamiętać podstawowego sloganu: „Uwierz, a wszystko stanie się możliwe”. Bo tak wita się klienta zamiast standardowego „Szczęść Boże” w konkurencyjnej firmie. A swoją drogą, co znaczy „wszystko”? Może należałoby dodać erratę: „wszystko dobre”? Albo „wszystko złe dla innych, jeśli tylko dobre dla ciebie”? I wmówić klientom, że nie tylko panujemy nad grami losowymi, ale i kontrolujemy wszelkie juju, jakie przenika nasz świat. Cóż, jeśli faktycznie panowalibyśmy, to Laura mogłaby pożyczyć pieniądze od ojca. Niestety, tata regularnie spłukiwał się na totka, święcie wierząc, że złamie system zwany statystyką. Do matki natomiast Laura nie zadzwoniłaby nawet na progu śmierci głodowej (a gdzie, kurna, byliśmy?). Delikatnie rzecz ujmując, panie nie akceptowały swoich wyborów życiowych. Z wyjątkiem przygarnięcia mnie, rzecz jasna. Chciałem zaproponować Laurze, aby zawiesiła funkcjonowanie firmy (i tak staliśmy na szubienicznym szafocie), przetarła swój lepszy profil i zainteresowała się świeżą nowojorską profesją „dinner bitch”. Wcale nie nakłaniałem jej do nierządu: panny „dinner” podrywały i pozwalały sobie fundować wystawny obiad (podobno

faceci lubią, jak kobieta, która nie jest osobistą żoną, dużo je), a w ramach deseru proponowały kasiastym absztyfikantom, żeby odłożyli nóż i widelec na rzecz zabawy własnym, eee, instrumentem, bo one muszą już wracać do domu. Zgrabne rozwiązanie, choć tak nieapetyczne, że należałoby je przedstawiać już po uregulowaniu rachunku. I w nogi... Laura nie lubiła biegać, odkąd zaczęła palić, a to było chyba przed tym, nim nauczyła się chodzić. Była jeszcze jedna przeszkoda: ile w naszym mieście jest restauracji przyjaznych psom? Czyżby jednak szykowały się „rzymskie wakacje u babci”?

„Żywy pies lepszy jest niż martwy lew, a ten, kto walczy i ucieka, może dożyć dnia, kiedy będzie walczyć znowu” – pakowałem tobołek w rytm dzwonów wzywających na nieszpory i wtedy właśnie Laura zgasiła papierosa i usiadła do komputera. Podszedłem do niej, aby przycisnąć cielskiem jej nogi – niech sobie myśli, że milusiński grzeje jej stópki i, do cholery (jestem zdesperowany), niech weźmie jakiegokolwiek zlecenie. Zrobimy z konopnego sznurka prezydenta. Razem!

Czy to w Biblii napisano, że pieniądze wyjaśniają wszystko? Laura pracowicie przeglądała oferty. Trochę się bałem, co jej strzeli do głowy. Raz zabrała mnie na casting reklamy – nie wiem czego, ale na pewno nie psiego żarcia. Pies reklamujący chrupki? To passe. Psy reklamują developerów, wielorództwo i spolszczony amerykański sen jawiący się na ekranach TV. Farby olejne, podłogi, meble, jogurty, praliny... Co tylko chcecie. Byłem przekonany, że raz dwa się od tego całego cyrku wykręcę. Raz dwa się nie udało, bo Laura napasała mnie środkiem przeciwbiegunkowym. To może nienaturalne, ale poczułem się po nim jak na rauszu: przyjacielski i wyluzowany, pomimo ogromnego cielska nabrałem ruchów baletnicy. I pokochali mnie. Ci od koncepcji i ci od pieniędzy, czyli reżyser i producent. Od kompletnej kompromitacji w godzinach największej oglądalności uratowała mnie Gwiazda. Powiedziała, że ze mną nie zagra i koniec. Nie ma dyskusji. Gdybym mógł, wrzuciłbym ramionami, bo nawet mnie było wiadomo, że w ostatnim swoim filmie Gwiazda grała z tresowanymi mrówkami na dekolcie. A ja byłem większy od całego mrowia mrówek. W dodatku nie byłem ani tak pracowity, ani tak dobrze wychowany jak one. Przestraszyło się biedactwo prawdziwego ssaka... Laura była wściekła.



O mało nie zapadłem się pod ziemię, kiedy wzięła się z kolei za reklamowanie mazurskich psich zaprzęgów. Najlepszy letni wypoczynek! Sanki zamiast płóz miały kółka, ale psy były jak najbardziej, hm, odpowiednie. Zaprzęgowe husky, które Laura pomyliła z malamutami. O zimnych ślepiach, które wpatrywały się we mnie przez cały czas, kiedy ona pstrykała zdjęcia do broszury, a ja grzecznie siedziałem z boku.

– Dlaczego się z nimi nie pobawisz?

Chyba nie wiedziała, dlaczego błękitnookie husky są takie szybkie, wytrzymałe i zdyscyplinowane. Wszystko za sprawą psiego przywódcy, a właściwie jego tyłka – całe to ciągnięcie sanek to efekt uboczny tego, że stado próbuje dogonić pośladki bossa i po kolei zagłębić w nim swoje zębiska. Jedno trzeba im przyznać: są przynajmniej szczerze w swoich zamiarach, inaczej niż ludzie, którzy bossa wzięliby na ręce, aby wrzucić w wilcze doły. Coś jak człowiek człowiekowi wilkiem.

Ziewnąłem. Nic tylko pieniądze, pieniądze, pieniądze. Jakiś obrzydliwiec powiedział, że psy są największymi pasożytami człowieka. Phi!

Przeklinając i Lidyjczyków (za to, że wymyślili pieniądze), i Sokratesa („Wedle mego przekonania nie mieć potrzeb to rzecz boska”) postanowiłem wziąć sprawy we własne łapy. Laura zawsze zapisywała numer swoich chłopaków na telefonie pod „5”. Kiedy poszła topić smutki w wannie, precyzyjnie wcisnąłem odpowiedni klawisz, a później zawyłem rozdzierająco.

Zadziałało. Laura zaciągała właśnie trok szlafroka (w pasie, nie na własnej szyi), kiedy w drzwiach stanęło zaopatrzenie. Sebastian plus dwie siaty pełne żarcia z nieodległego Tesco. Wypożyczoną płytę DVD z *Pitbullem* vege-advokacik przytrzymał gołym podbródkiem. Ucieszyłem się. W tym filmie grał Gajos, polubiłem go od czasu, kiedy szczenięciem będąc, zobaczyłem, jak w czarno-białym serialu jego rozjaśniona perhydrolem czupryna komponuje się z futrem Szarika. Teraz nie musiał się rozjaśniać, a wypchany Szarik (prawdziwe imię: Trymer z Żoliborza; wypchany na polecenie ministra kultury) zajął swój ostatni posterunek w bibliotecznym akwariu (sic!) Zakładu Psów Policyjnych w Sułkowicach. Ot, los gwiazdorów i faraonów.

Na początku wszystko było dobrze. Znamy to z Biblii.

Agencja Nahin Na dostała zlecenie (i zaliczkę). Włączyli kaloryfery. Tekowy Budda nie schudł nawet o gram. Laura nadal była dla Sebastiana miła, a on nawet był lizusowaty. Miało minąć jeszcze sporo czasu nim staną się wobec siebie bierno-agresywni (on) i agresywno-agresywni (ona). Dostałem nową zabawkę do żucia – gumowego wielbłąda. Zastanawiałem się, dlaczego nie kota. Co ma wielbłąd do psa? Od czasu do czasu było nawet nudno – czyli jak podpowiada doświadczenie, dokładnie tak, jak powinno być.

Do Byrona wprowadziła się dwójka jego dzieciaków. Mali chłopcy o poetyckich imionach Mickey (od Mickiewicza) i Sly (od Słowackiego). Zora, „truskawkowa” pudliczka (nie pytajcie mnie, jaki odcień sierści to truskawkowy, a srokaty, dropiaty? Znałem kiedyś studenta weterynarii, który oblał egzamin, kiedy profesor kazał mu scharakteryzować barwę srokatą, znałem też wyżła, który opowiadał, że ma dropiatego penisa. Kazałem mu nigdy nie mówić o tym żadnej suce), wygarnęła Byronowi, że jest nieodpowiedzialny. Jak mógł zmajstrować dzieciaki, jeśli cierpi na kulawiznę? Odpowiedział, że tam nie kuleje. Wyszczekała, że tam też się liczy, bo kulawizna to choroba genetyczna. Wysłał ją do cyrku, żeby skakała przez płonące obręcze. Obraziła się, ale tylko trochę. Niedługo sama miała zaplanowane „krycie” i jak zwykle się denerwowała, jak to przed randką w ciemno. Mickey i Sly w każdym razie wystarczali za tuzin szczeniaków, że o dorosłych psach nie wspomnę. Może właśnie za sprawą szcenięcej bilokacji tak późno zorientowaliśmy się, że dwa psy z naszej ośki zaginęły. Ktoś zadarł kufę i zobaczył ogłoszenia. Po tygodniu roilo nam się, że ogłoszenia zamieniły się w klepsydry. Wiecie, co mówią w kryminalnych filmach: jeśli zaginiony nie odnajdzie się po tygodniu, to kaplica. Pierwszy rzecz po imieniu nazwał właśnie Byron i zakazał maluchom wychodzić na dwór. Sikać na dywan, póki wolno. Nie wiem, dlaczego nadciągającej katastrofy w porę nie wywachał Tofik. To dlatego, usprawiedliwiał się, że jego pan kupił buty z logo żaby. Odkąd Tofik żyje, zawsze kupował takie z sylwetką basseta, bo przecież wszyscy wiedzą, że najwygodniejsze buty na świecie są właśnie takie... Czy on już mnie nie kocha? Ach, te egzystencjalne niepewności! Nie odpowiedziałem mu. Giną psy, Tofik! Giną psy! Ludzie myślą, że psy nie

wiedzą, co to umieranie. Mylą się. My wiemy, mamy nawet własne koncepcje. Zupełnie jak ludzie. Jeśli chodzi o śmierć, to chyba nigdy tak wielu i tak długo nie zastanawiało się nad niczym! Popularna jest teoria reinkarnacji, przy czym żaden pies nie chciał odrodzić się jako człowiek. A jako kot? Psy wolą być kotami albo nawet wielbłędami. Żałują tylko, że nie będą mogły zabrać Tam (gdziekolwiek i czymkolwiek to jest) swojej ulubionej poduszki i miski. Generalnie metafizyczne dyskusje kończą się fiaskiem: suczki zaczynają się mazać, psy brać do bitki, a wszyscy razem merdać na myśl o seksie... Nie inaczej było i tym razem. Trochę mnie to zniesmaczało, ale jakże im też zazdrościłem!

Bąbel napięcia pękł i na przywiedłym trawniku dwa boksery rzuciły się w wir walki. Zaalarmowani wyciem właściciele chcieli je rozdzielić, ale nie za dobrze im poszło. Podobnie wezwanej straży miejskiej. A także pielęgniarzom z karetki. Bitewny pył długo nie opadał, zupełnie jak w superprodukcji *Gladiator*. W końcu do grupy kotłujących się podszedł zupełnie mi obcy pies i coś tam szczeknął jednemu z drugim do ucha. Posłuchały. Każdy pobiegł do swojego opatrywanego pana lub pani. Mamo, tato, to była tylko zabawa!

– Co żeś ty im powiedział? – szczeknąłem gwarą do nowego.

– Jak to co? „Cięcie”.

– Bardzo zabawne. – Był mieszańcem. Żadnym cockerpoo, nieliniejącym labradoodle czy bull boxerem. Nie, przede mną stał rasowy polski kundel. Owoc miłości, a nie planowanego krycia. – Co tu robisz?

– Wiesz, apartheid mamy już za sobą. – Nie zdążyłem się zachnąć, bo zaraz dodał: – Jakiś facet mnie podwiózł.

– Hm...

– Miły gość. Gdyby tylko przyhamował przed planowaną wysiadką...

Współczułem mu. Zgrywał się na cwanego, ale...

– Mam na imię Tramp.

– Tramp – dobrze, że nie Pepegi – masz zamiar długo tu zostać?

– Nie wiem. Szukam mocnych historii. Chcę zostać pisarzem, jak Charles Bukowski. Ale jeszcze nie teraz... A propos, słyszałem, że szaleje tu u was serial

killer?

Klapnęła mi szczęka.

– To już się rozeszło?

– Pewnie.

– „Psy nie mogą wyraźnie dostrzec góry, kiedy same są w górach” – zacytowałem mnicha buddyjskiego Su Donga, rzecz jasna z jedną poprawką.

– Pewnie.

I co miałem z nim zrobić? Zostawić w zapadających ciemnościach, w których czaił się morderca? Zabrać go do Laury?

– Ta Laura – zaczął Tramp – *Zakochanego kundla* oglądała?

– Chyba oglądała.

– To chodźmy – powiedział, ale wcale się nie ruszył.

– Co się stało?

– Bo widzisz...

Zaprowadził mnie w gęste krzaki oddzielające parking od pól i starego folwarku.

– ... Nie jestem sam.

W rozdartym zębami worku na śmieci popiskiwało żałośnie sześć (cholera, w mgnieniu oka policzyłem) puchatych kuleczek, z których każda, jeśli tylko dać jej szansę, wyrośnie na wspaniałego psa.

Zostałem dobrym wujkiem. Gdyby tylko udało mi się w to wrobić Tofika! Miałby te swoje żaby, wszędzie żaby.

Nazajutrz po awanturze na klatce schodowej pysznił się napis: „Psy wyprowadzamy na smyczy i w kagańcu”. Najpierw zignorowaliśmy go my, a później cała reszta. *C'est la vie*, rzekłbym. Pracusie z naszego blokhauzu, poganiani przez banki i jednocześnie spragnieni obecności w ich życiu choć jednego ciepłego stworzenia nielecącego na kasę, marzyli o psie samosterującym. Nie tylko takim, co sam wyprowadza się na spacer, ale i myje zęby, otwiera puszkę z karmą, a karmę podgrzewa, by później pacnąć ją do miseczki, do żołądka, miseczkę zaś do zmywarki obsługiwanej mokrym nosem. Nie obyło się wszakże bez kilku komicznych

incydentów. Paru współpraci miało asystę lepszą od królowej angielskiej, kiedy pod czujnym okiem straży miejskiej kładło balaski na murawie.

Sprawa szczeniąt zbulwersowała wszystkich, choć – przykro pisać – jakieś dzikie tłumy nie garnęły się, aby zapewnić przychówkowi odpowiedzialną rodzinę. Mecenas Sebastian, jak mniemam po trosze z dobroci serca, a po trosze, aby podliznąć się Laurze, poupychał psiaki u swoich znajomych, przez co ustanowił psią drużynę, która przeszła na utrzymanie palestry. Założę się, że maluchom do twarzy będzie w togach, a każdy, który wejdzie w czas dojrzewania, powiesi nad kojcem plakat buldoga francuskiego z *Gliniarza i prokuratora*, absolutnie nie przejmując się, że choć ich ideał jest srokaty i rodowodowy, to one są czarne jak diabły i pochodzą od diabełka żądz. Och, młodość! Kogo ona kocha, a kto jej nie uwielbia? Większy problem był z Trampem, który nie tylko nie wyglądał na buldoga, ale nawet ktoś ślepy od urodzenia nie wziąłby go za oseska. Sebastian wziął owe podstarzałe dziecko w swoje ramiona. Ucieszyło to wszystkich z wyjątkiem Tofika, który odkrył zazdrość. W końcu ani razu nie został przez Laurę wpuszczony na salony, co Trampowi zdarzało się często, ilekroć Laura i Sebastian, jałowo, acz konsekwentnie, robili to, co piesek z suką czynić powinien.

Tak oto pojawił się w naszym M dobrze zabezpieczony i rozgarnięty Sebastian, tachający welurowego jaśka dla Trampa oraz samego Trampa, a kieszeń kurtki wypychała mu paczka durexów.

Nasze poduszki rzucono na wyglancowane panele, a my układaliśmy się na nich, zadkiem do tego, co proboszcz nazwałby rują i porubstwem, a czego sam unikał, trzymając na parafialnym podwórku dwa psy rasy męskiej, Placka i Wacka.

– „Ten bukiet kwiatów, który wyruszył na poszukiwanie serca, a znalazł tylko flakon” – burczał Tramp, kiedy tylko przestało mu burczeć w brzuchu.

– Bukowski? – pytałem.

– Romain Gary – odpowiadał i z westchnieniem układaliśmy pyski na łapach.

Lubiłem go, lubiłem go w całej naiwności paniczyka, który wpuszcza na salony lekko utyłanego hulakę, aby tamten był romantycznym przewodnikiem po zaułkach życia, gdzie ruletka wygrywa, bimber nie pali, a dziwki mają myszki

wyskubane brazylijskim woskiem. Wiedziałem, że kiedy romans Laury i Sebastiana się skończy, stracę tego kumpla, więc postanowiłem nacieszyć się na zapas, a może i Laurze zasugerować monogamiczny związek owocujący rodziną 2+2. Niestety, Trampa trudniej było wziąć na spytki niż umarłego. Milczał o swojej przeszłości.

– Byłeś w schronisku? – spytałem, a on zachnął się tylko. Grał cynika, ale ja widziałem pod tą wyleniałą, a sprytną mordą szlachetny rys skrzywdzonego idealisty.

– Lubisz Sebastiana?

– Człowiek jak człowiek.

Tu chciałem zaprotestować, bo przecież nie Marsjanin zawiązał szczeniaki w worku, ale przerwał mi pytaniem.

– A ty kochasz?

– Kogo?

– Ludzi.

Czułem, że się różowię pod sierścią na pysku.

– Laure...

Widząc moje zażenowanie, taktownie ziewnął i ułożył się do snu. Ciężki orzech do zgryzienia. Ciekawszy w środku niż jajo z kinder niespodzianką.

Włóczyliśmy się z Tofikiem po polu. Było to karkołomne w ciężkiej mgle i dusznej atmosferze, jaka panowała wokół. Nie było ani jednego kota na kostropatych ruinach folwarku, któremu prosto w płaski pysk można byłoby wyszczekać frustrację, a później udać, że nie zostało się w iście boski sposób zignorowanym. Lodowate, zamarznięte grudy błota pękały nam pod pazurami. Tofu był jeszcze bardziej ponury niż zwykle, zupełnie jak primabalerina, którą uciskają pointy. Albo jak była dziewczyna, która wciąż utrzymuje, że przecież byliśmy umówieni do kina. Zazdrość zazdrością, ale, do cholery, byliśmy dorośli!

– Cieszę się, że znalazłeś dla mnie czas – burknął Tofik.

– Zawsze znajduję dla ciebie czas.

– Nieprawda. Ostatnio jesteś okropnie zajęty.

– Co ty nie powiesz...

– Najbardziej inteligentne stworzenie na świecie?

– A dajże mi spokój, Kinol! – zachnąłem się. W gruncie rzeczy nie lubiłem zmian, a zmiany pleniły się wokół mnie jak chwasty na wiosnę. Wstrząsnąłem się z chłodu.

– Człowiek, szympan, goryl, orangutan, pawian, gibbon, małpa, wieloryb, delfin, słoń.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, że szympan, goryl, orangutan, pawian i, zdaje się, gibbon to małpy.

– Taaa. O kant dupy potłuc te rankingi – była to zaskakująca wulgarność jak na mojego przyjaciela.

Włóczyliśmy się wzdłuż nieczynnych torów, którymi kiedyś transportowano metalowe konstrukcje metra. Teraz tory milczały, ale nie gawrony, które darły się do utraty tchu.

– Myślisz, że Tramp był w schronisku?

Stały mi przed oczami towarowe pociągi przecinające Dziki Zachód, do których w biegu wskakiwali włóczyki, zmuszeni liczyć się z tym, że na każdej stacji czeka na nich policjant z pałką i maszynopisem ustawy o włóczęgostwie, której nie potrafił przesylabizować.

– Pewnie był.

– Ale się nie chwali?

– Czym tu się można chwalić? Chwalić to się możesz ty albo ja.

– Schronisko... Nie wiem, czym mi to pachnie.

– Ryżem bez omasty. Budą. Kocem. Rejestracją.

– Kąpielą.

– Czyszczeniem uszu.

– Ludźmi.

– Jakimi ludźmi?

– Któż to wie, Tofik. Miejmy nadzieję, że dobrymi.

– Schroniska powinny być małe, dotowane przez gminy i w jakimś miłym zakątku.

– Takim jak ten tutaj – powiedziałem bez ironii, bo jeśli coś w miarę

wyglądało w taką pogodę, to las i łąka.

– Podśлуchałem mojego Maklera: wstrząśnięci losem porzuconych psów, ludzie na osiedlu chcą zbudować schronisko.

– Rzeczywiście podśluchiwałeś?

– Szukają tylko kogoś z wizją.

– A teren?

– A dlaczego by nie tutaj? Developerzy mają tu zakaz wstępu, bo zaraz rezerwat, ale psy? Kto się przyczepi do piesków?

Był to temat już nie dla maklera Tofika, co raczej dla „mojego” prawnika. Ale choć Laura z Sebastianem regularnie robili Dwugłowa, który doprowadziłby do zawału pocziwego Doktora Doolittle’a, to nie wyglądało, aby ćwicząc i ćwicząc, podciągnęli się w języku zwierząt.

Nie tylko koty uwielbiają tarzać się we śnie. Psy też. Tyle że nam się nie pozwala. Świat ciągle wrzeszczy nam do ucha „czuwaj!”. Jesteśmy jak starzy wiarusi nieopodal pola bitwy, łapiemy tu i ówdzie kapeczkę rozkosznego snu, jednocześnie szeroko otwierając oczy, aby zmylić naszych panów – generałów. Gęsi kapitolinijskie uratowały Rzym (gęgając nocną porą), to czemu nie miałyby złuzować nas z roli stróżów ludzkości? Ano może dlatego, że srają gdzie popadnie, kiedy my, my...

Spałem. Oczywiście do spania najlepiej nadaje się łóżko. I podusia. Kiedy bardzo przymrozi, a Laura nie weźmie do pościeli „termofora”, można zasnąć pod kaloryferem, rojąc sobie erotycznie, że to kominek. W upały zaleca się spać pod balkonem. Pozycja też jest ważna – tylko koń wysypia się na stojąco. Można się rozciągnąć na całą długość, tworząc dla gołców oddychającą przeszkodę, albo zwinąć się w kłębek. Najlepiej jednak śpi się na plecach. Z łbem odrzuconym do tyłu, przednimi łapami złożonymi na piersi, rozluźnionym ogonem i tylnymi nogami rozrzuconymi, celem zapewnienia odpowiedniej wentylacji. Oczywiście na taki sen można pozwolić sobie tylko w absolutnie bezpiecznym i, wzięwszy pod uwagę kastracyjną bliznę przebiegającą na podbrzuszu, słynącym z dyskrecji miejscu. Hotel Ritz byłby odpowiedni, z tłoczonym kartonikiem „nie przeszkadzać” wywieszonym na złoconej gałce drzwi... Cóż, ja sypiam tak w domu. Gwarancją spokoju są moje



obnażone zęby i zmarszczony nos. Przez sen przychodzi mi to niemal automatycznie, choć do repertuaru warczenia mogę sięgać coraz rzadziej. Uciałem Laurę parę razy „przez sen”, co ostudziło jej miłosne zapąły. Jak śpię, to śpię. Jak kocham, to kocham. Nie jestem jakąś cholerną królewną w bajkowej komie, żeby trzeba było budzić mnie cmokiem. Wara! Jak będę chciał, to zasnę i na sto lat. A przynajmniej sto minut. Łeb odrzucony do tyłu, ogon luźno, łapy rozrzucone...

Cholera jasna! Człowiek nigdy niczego się nie nauczy!

Jawa zmieniła się w koszmar senny, bo oto nade mną pochylała się morda. Nawet księżniczka trolli, widząc nad sobą taką „twarz”, nie pomyślałaby o pobudce. Shrek, jakiś ty przystojny! Dobierało się do mnie urodzone w czterdziestym roku życia dziecko Skawińskiego i Chylińskiej! Dziesięć w skali Apgar za łysinę, nieogoloną brodę i pajacowate okulary przeciwsłoneczne. Za koszulkę z bykiem, z której obscenicznie wylaniał się byczy, purpurowy kark. Dech mi zaparło i w pierwszej chwili zapomniałem nawet, jak się warczy. Co jest grane? „Toto, nie jesteśmy już w Teksasie”, jak mówiła Dorotka do swojego pieska w Krainie Oz, a przecież przysiągłbym, że ledwie przed godziną ułożyłem się do snu na mojej własnej poduszce, na mojej własnej podłodze we własnym mieszkaniu!

– Nie lubi, kiedy się go budzi – usłyszałem głos Laury.

Jeśli to jest jej nowy absztyfikant, to odchodzę! Na razie cofałem się rakiem przed ziejącą mordą, aż uderzyłem zadkiem w znajomy regał na książki, co upewniło mnie, że jednak jestem u siebie.

– Psy mnie uwielbiają – mamrotała morda, prezentując upiorną minę z rodzaju „chodź na koci, koci łapki”.

Oszukuj się dalej, frajerze. Zagrał we mnie duch bojowy i chapnąłem monstrum w rękę.

Wrzasnął jak rasowy masochista, kapiąc krwią na panele.

– Nic się nie stało! Przestraszyłem go. Dobry piesek... – Choć głos sugerował współczucie, że oto ja, piesek, odrzuciłem swojego mesjasza, oczy faceta mówiły, że przewidywał dla mnie w najbliższej przyszłości rozrywkę w rodzaju łamania kołem. Laura zajęta szukaniem przeterminowanej wody utlenionej, jakby tego nie widziała.

Zbierało mi się na płacz.

– Niedoczekanie twoje, frajerze! – zaszczekałem, walcząc z własnymi namiętnościami.

– A może jest chory? Może go coś boli? A może to w ogóle nie jest pies? Wszystkie psy mnie kochają.

Pieprzony mitoman, śmierdzący tanią wodą po goleniu i frustracją. Postanowiłem obrazić się śmiertelnie. Na Laurę, bo gniewanie się na tego buca było poniżej mojego honoru i urodzenia.

– Jak mogłaś mi to zrobić? Jak mogłaś wpuścić kogoś takiego do naszej ostoji?  
– zawyłem, kiedy buca wywiało, a krew z podłogi została zmyta.

– Przepraszam, Al. Przestraszył cię...

– Trzeba mu było przyciąć ryj, Lauro.

Nie mogła. Oto bowiem miałem niewątpliwą nieprzyjemność poznać jednego z jej klientów – Witolda Pryzę. Tak, robiła temu gnojowi PR, a on – niestety i poniekąd – płacił za moją karmę i jej papierosy. Miał hurtownię spinaczy biurowych i otwierał gazetę o profilu, uwaga, psy. Przedsięwzięcie non profit! Anioł, nie monstrum. Pośrednik w adopcjach i planowanych kryciach! Dorobił się na zszywaniu stert papieru, przez które to sterty giną lasy amazońskie, i teraz postanowił odpokutować swój majątek, a że południowoamerykańskie kapibary były za daleko, chciał pomóc polskim psom! Na osiedlu nie ma schroniska, więc sfinansuje schronisko! I miskę zupy dla każdej przybłądy. Patrzyłem na Laurę i gdyby było to technicznie możliwe, przecierałbym łapami oczy ze zdumienia.

– Tofik! – rozdarłem się. – Gdzie jest mój *con sigliere*, jak go potrzebuję!

Przed snem liczę owce. Dobrze, że jestem bloodhoundem, a nie owczarkiem podhalańskim, bo w ramach „terapii” nabawiłbym się schorzenia gorszego od bezsenności. Co nie znaczy, że bezsenność jest dobra. Nawet ta dzielona z Laurą.

Laura już zbyt długo zastanawia się, jak powiedzieć Pryzie, że jest kretynem. Mitoman to zbyt wyrafinowane słowo. Określenie „kretyn z pieniędzmi” dla nas obojga jest bolesne. Laura zostawi to zlecenie czy nie? Pryza nabił sobie głowę (a było w niej sporo pustego miejsca) mrzonkami o napisaniu autobiografii –

*Pamiętniki dobrego przedsiębiorcy.* To znaczy Laura miałaby ją wystukać na komputerze, wywołując z zaświatów widmo literackiego murzynka. I o czym tu pisać? „O wielkim sercu” Pryzy, rzecz jasna. A w erracie należałoby ująć jego zdolności do zmuszania pracowników, aby za wdowie grosze wypacali z siebie siódme poty, kiedy Pryza, który zwariował już na tyle, że każe się nazywać nie Prezesem Firmy, a Prezydentem, uzupełnia kolekcję dużych czterokołowych zabawek.

– Srebrny? Srebrnego już mam. Potrzebuję czarnego. Bordo? Co mi pan sugeruje, że wsiadłbym w taką kupę na kółkach? Jak to nie ma? To sprowadźcie! A tapicerka? Nie. Nie. Ma być włoska skóra. Weźże się pan za robotę! – wrzeszczy przez telefon na swojego dealera.

Jeszcze trochę i to ja ruszę tyłek, żeby nasrać mu na buty. Satisfakcja. „Bo jestem tego wart”. I Laura jest. Laura się gryzie i Tofik też. Miał przygodną przygodę, czyli jak zwykle.

– Chcieli mnie zamknąć w słoiku. Zupełnie jak stonkę z amerykańskich zrzutów – drżał cały.

– Chcieli zamknąć nie ciebie, a twoją kupę. I nie w słoiku, a w papierowej torbie.

– Och, zawsze się od tego zaczyna! A czy kupa nie jest mną? – szarżował, rzekłbym, filozoficznie. – Czy nie jest mną choć przez chwilę?

Ruszyła wielka społeczna akcja oczyszczania miasta, żeby przezimowany kompost nie zadusił Warszawy na wiosnę. Późną jesienią myśleć o wiosnie? Z ludzi to jednak są optymiści. Znudzeni optymiści. „Świat ciągle się zmienia, a życie jest jedynie przedstawieniem”, jak mawiał cesarz Marek Aureliusz, kiedy jeszcze mógł. Dziesiątki barbarzyńców napadło na nasze synedrium – trawnik, czyli miejsce spotkania z ulgą. W dodatku z pieśnią na ustach! I robili pamiątkowe zdjęcia ruin! Jeszcze nigdy pies z rozstrojem żołądka, a później nerwów nie został tak dokładnie sfotografowany jak biedny Tofik. Mam nadzieję, że nie da się fotkami szantażować, choć możliwe, że zostanie gwiazdą kolejnej edycji miejskiego happeningu „Sprzątnij psią kupę” i wyląduje na koszulkach, jak, nie przymierzając, w Ameryce seryjny

morderca na t-shirtach sprzedawanych przed gmachem sądu. Cóż, na takim happeningu Tofik nie będzie happy.

– Szybciej bym wrócił do domu... – wstydził się. – Ale zestresowali mnie, a mój żołądek jest taki nerwowy.

Chcieli basseta zamknąć w słoiku i wyrzucić klucz.

– Cholera – martwił się nadal. – Taki t-shirt to jednak nie to samo co wygodne buty. Nie chcę być logo kupy!

– Wielki Kinol, wyluzuj – próbowałem go pocieszyć. – Żaden z ciebie amant.

Tym razem był skłonny się zgodzić.

– Ale Al, czy oni szukają amanta?

Popatrzyłem na utyłtany w błocie znaczek akcji, którym ktoś nie trafił do przydomowego kosza na śmieci. Pysk mi się rozchmurzył. Mały ludzik w przykłęku wyglądał, jakby oddawał honory odwróconemu doń tyłem terierowi. Jest więc jakaś sprawiedliwość.

– Nie lubię terierów – zauważył Tofu – są szczekliwe. I gryzą. Och, Al – dodał – czułem się jak pan K. No wiesz, Franz Kafka.

Polecilem mu zmianę lektur i lekkie posiłki. Ucieszył się z rady i zeżarł gazetę – z frustracji albo czystej złości.

– Czy wiesz – nawet odbijało mu się lekko farbą drukarską – że w Warszawie pojawia się trzydzieści ton kup dziennie? A sześćdziesiąt procent psów jest nosicielami toksokar? Jesteśmy mordercami – ostatni posiłek pomieszał mu w głowie.

– Tofik, poczytaj *Dziennik geniusza Dalego*. Ten facet z defekacji zrobił dzieło sztuki.

– To ludzie tak mogą?

– Wszystko mogą.

Całe szczęście tym razem Tofu zdecydował się po prostu pooglądać Disneya na kablówce. Jego pan był przekonany, że basset połknął pilota. W każdym razie kreskówki i odrobina złośliwości podziałały na Kinola jak balsam.

– Czy wiesz, że Goofy to bloodhound? I Pluto tak samo.

– Stary, niemożliwe.

– Oczywiście, że tak, Al. Dokładnie się przyjrzałem.

A co ze mną? Leżę na pustym łóżku i liczę owce. Czarne barany. Stonki i bobki.

Wacek i Placek, skundlone wilczury, leżały na podwórku probostwa i głośno dyszały. Były zadowolone.

– Ave – szczechnąłem do nich. Podszedłem do masywnej bramy, która dzieliła naszą świecką ziemię od kościelnej. Też ziałem. Było gorąco, zdecydowanie zbyt gorąco jak na tę porę roku, szczególnie że zdążyłem już przekręcić swój wewnętrzny termostat na czas zimowy. Gdyby to było możliwe, oparłbym swój skołowany łeb na szczeblach furty, ale wiedziałem, że brama w ogóle nie jest zamknięta, tylko taką udaje, Wacek i Placek zaś ortodoksyjnie podchodzili do podziału gruntu na „nasz i wasz”. Zachowywali się tak, jakby urodzili się w Watykanie, a nie w podstolicznych Zielkach, gdzie mieszkała mama osiedlowego Pasterza Dusz. Zagorzałego i upierdliwego, ze swoją elektroniczną dzwonnica, która na równi z przelatującymi samolotami burzyła nam spokój wieczorem i o poranku.

– I co wy na to powiecie?

– Na co? – pierwszy odezwał się Wacek. Zawsze odzywał się pierwszy.

W imię starszeństwa, wszakże był ojcem Placka. Co złośliwsze psy nazywały wilczą parę gejami, ale to było niemożliwe. Wacek i Placek, w akcie iście neofickiej cenzury, zżarły swego czasu proboszczowi dzieła Freuda, w tym traktującą o kazirodztwie pracę *Tabu i totem*. Byłyby z nich idealne psy Savonaroli. Aż chciałem sprawdzić ich umiejętność łaciny i wyszczekać kanonicznego Tertuliana: „*Credo quia absurdum*” – „Wierzę, bo to niedorzeczne”.

– Na te wszystkie zaginięcia – uściśliłem Wackowi. Placek przeżuwał białe gołębie pióro, które przykleiło mu się do pyska. Proboszcz miał gołębnik pełen ptaków wypasionych jak świąteczne kury. Miały być – z nazwy – gołębiami pocztowymi. W istocie ptaszyska rozleniwiły się tak bardzo, że aby wykazać się jakąś inicjatywą w sprawie lotu, domowe wilki musiały je nieźle pogonić. Gdyby Noe natrafił na gołębicę tego chowu, wciąż garowałby na swojej arce.

- Psy gubią się i wracają.
- Chyba że je ktoś zamorduje.
- Wszystko w rękach Pana.
- Modlimy się za naszych braci – dodał Placek i wznosił żółte oczy do nieba.

Czystego, bez jednego gołębia.

- A co na to proboszcz?
- Pilnuje nas bardziej – rzekł Wacek.
- I zwiększył racje żywnościowe – dodał Placek.

Aha, za chwilę nie będzie kto miał gonić gołębi, chyba że sam pan tego domostwa.

– Tu mieszkają same przyzwoite psy – rzekł Placek, wyjątkowo rozsądnie jak na kogoś, kto będąc szczeniakiem, wychłęptał zapas mszalnego wina, co zahamowało wzrost jego szarych komórek, jak i całej reszty. Nie starając się zbytnio, mógł przejść Wackowi pod brzuchem.

- Oby tak było – powiedziałem.
- Amen – skwitował Wacek, a ja poczułem się uwznioślony.
- Gdyby wam się coś obilo o uszy...
- Jeśli nie będzie to tajemnica spowiedzi...

Westchnienie zawisło mi u pyska.

– A jak tam niedziela?

– Rekolekcyjna – znowu zaczęły dyszeć jak dwa zsynchronizowane dobrym uczynkiem miechy.

– Pogoniliśmy obcych – dodał głuchy na ekumenizm Wacek.

– Oj, pogoniliśmy – morda Placka jaśniała ogniem przekonań, zaproszonych gdzieś u progu Dziecięcej Krucjaty. – Byczo było.

– Aha – szczeptałem grzecznie. Gdyby te psy były bardziej rozgarnięte... Tyle mógłbym się dowiedzieć. Tkwiły przecież w papistowskim pępku świata, w dodatku na górce, z której jak z Synaju rozciągał się widok na nasz mały Kanaan. No i stróżowały w nocy, kiedy psy z blokhauzu spały. Pasterze nasi.

Mając krasny widok na niedzielną psią szkółkę, która ulokowała się na łące tuż

za probostwem, mogły przepytać psy z innych dzielnic (na okoliczność dziwnych zdarzeń w ich kwartale miasta). Jednak Wacek i Placek woleli z ujadaniem przekraczać niedomkniętą bramę i siać postrach w szeregach szczeniąt i psich leserów, przybyłych tu ze swoimi pańciami na lekcje oglądy. Szkolenie na posłuszeństwo rozpoczynało się o dziewiątej rano, w co drugą niedzielę. O dziewiątej rozpoczynała się msza. Ergo: kto był ze swoim psem w szkole, zamiast wciskać się w klęcznik, grzeszył, nawet jeśli był ateistą. Skoro zaś ludzie byli poza zasięgiem Ojca i Syna, to Wacek i Placek, szczerząc kły, siali nabożne przerażenie w szeregach ich pupili.

– *Umbilicus Telluris* – wyszeptalem, co znaczyło Pępek Świata, bo oto zobaczyłem, że po łące kroczy moja pustynna królowa. Moje życie i moja dusza – Vita. Od razu usłużna pamięć podsunęła mi pod pysk zapładniające obrazy. Ten zabójczy pieprzyk na piersi, przebijający się cieniem przez sierść przypominającą mgłę, delikatną jak pajęczyna, subtelną jak jedwab.

Ośmieliłem się kiedyś powiedzieć Vicie:

– Masz, futerko jak sierść fenka w czasie pełni księżyca.

– My, saluki, zjadamy fenki – odpowiedziała mi i... I to było na tyle.

Placek niebezpiecznie wywalił gały na spacerującą boginię, ale natychmiast ojciec szarpnął go zębami za ucho, warcząc:

– Celibat.

Ech, ona nie dla nas, chłopaki.

– Hej, hej, Vita! Tutaj! Cześć! – rozszczękałem się jak kretyn, który dopiero co urwał się z matczynego sutka. A tu nagle stał się cud. Vita biegła w naszą stronę.

Była... wściekła. To znaczy zdenerwowana. Czulem bijące od niej gorąco, a może to mnie tak gwałtownie skoczyło ciśnienie?

– Prezydent Czeczenii, Ramzan Kadyrow, wezwał mężczyzn do poligamii! – wyszczekała Vita wysokim tonem.

Choć bardzo się starałem zrozumieć, opadła mi szczęka.

– Faceci! – jazgotała charcica. – Nic nie rozumiecie!

– Nie – zgodził się mało przytomnie Placek.

– Och, Al – Vita spojrzała wprost na mnie. Nie zrobiłem się od tego ani o gram mądrzejszy, a wręcz przeciwnie. – Naprawdę nie rozumiesz? Najpierw Czeczenia, później Afganistan.

– Tak – szczechnął Placek.

– Nie! Nie zgodzę się w moim domu na żadną inną sukę! – zawarczała, a ja panicznie próbowałem sobie przypomnieć wszystko, co wiem o okrutnym maktub – prawie pustyni.

Basta! To musi się skończyć. Do morderstwa nie można się przyzwyczaić (choć próbowałem, głowę daję, że próbowałem), a już na pewno nie do morderstwa w promocyjnym pakiecie, który korzystając z jedności czasu i przestrzeni, porzuca na leśnej łące aż trzy ciała. I to jakie. Charcic angielskich – podziwianych, choć nieco autystycznych bliźniaczek, które flegmatycznie ignorowały świat, odpłacający im za tę obojętność pasją uwielbienia. Nasze czarodziejki, do których niejedyn pies skuczał, a o których niejedna suka syczała: „Anorektyczki, phy”, mieszkały na posesji tuż obok tysiącletniego dębu „Mieszko”. To towarzystwo tylko dodawało im uroku i tajemnicy. Bóg wie, co czyniły nasze angielski podczas snu nocy letniej. Zamordowane hurtowo w porze prawie zimowej. Dąb trzysta lat dorasta, trzysta lat stoi później w sile wieku, przez kolejne trzysta umiera. Nasze dziewczyny – kiedy wszelkimi zmysłami zbadałem ich księżycowe ciała, mógłbym to przysiąc – zginęły w jednej minucie. Uduszone przez sześciorekiego, morderczego demona. Przez szybkiego potwora. Jovanka, suczka, która z byle powodu gryzła. Janina, która mdlała. Józefina, o której nic nie dało się powiedzieć, poza tym że jest fizyczną kopią swoich bliźniaczek.

– *Animula vagula, blandula* – zacząłem, ale Byron kazał mi się zamknąć, bo to jego dzieciaki, z oporami wypuszczone na spacer, znalazły trupy. Jak martwe, oszronione liście leżące w zagajniku.

– Boję się – wymamrotał Tofik, odbierając kwestię tchórzliwej wyżlicy Sarze.

– Pieprzę to i się wyprowadzam – rzekł ktoś inny, zupełnie jakby to od niego zależało.

– Al, zrób coś – miękko głosem zaszczekała saluki, moja femme fatale. –



Czuję, że będę następna.

– Histeryczka – stwierdziła pudlica Zora, która będąc w zaawansowanej ciąży, krytykowała wszystkie dziewice i bezdzielne mężatki.

– Muszę pomyśleć – odchrząknąłem. Psy patrzyły na mnie i choć w naszym przypadku to przecież niemożliwe bez odpowiednich gruczołów, czułem, że się pocę.

„*Animula vagula, blandula*. Duszyczko moja tkliwa i ruchliwa, gościu ty ciała mojego i družko, co pójdiesz teraz w krainie ciemności, twarde i nagie, i pełne bladeści, a żartów zwykłych stroić już nie będziesz” – trzykrotnie moje myśli przecięły słowa cesarza Hadriana... Udało mi się stłumić nerwowy śmiech, tak że przeszedł w czkawkę smakującą wczorajszym kurczakiem.

– Zrób coś! Zrób coś! Zrób coś! – Dla moich współbraci byłem zupełnie jak Rzym, wszystkie ścieżki przerażonych pielgrzymów prowadziły do mnie! Żebym chociaż otrzymał za to jakąś dietę i samochód z kierowcą.

Poszedłem jeszcze raz na miejsce zbrodni, żeby zorientować się, czy czegoś nie przeoczyłem, a raczej nie wywęszyłem. Pachniało strachem, zgniłą słodyczą i malutkimi zwierzątkami bobrującymi w swoich podziemnych jamkach. Pachniało psami – widać nie tylko ludzie lubią zażywać wycieczek do miejsc upiornych, w poszukiwaniu katharsis albo chociaż splachetka zieleni, na której można zjeść piknikową kanapkę z jajkiem na twardo. Ciało bliźniaczek już nie było, ale słaba trwa nie mogła się podnieść w miejscach, gdzie je złożono. Złożono, bo byłem pewien, że nie tu zostały zamordowane. Zabito je, a ciała z jakiegoś powodu celowo porzucono na tym uczęszczanym przez ludzi i psy szlaku. Chodziło więc o to, żeby zwłoki znaleźć w miarę szybko. Po co? Dlaczego? Zabito siostry gdzie indziej, przeniesiono tutaj... Zabójstwo trzech gracji też nie było chyba przypadkowe – tylko raptowny koniec J&J&J mógł tak wstrząsnąć towarzystwem. Czy to nie oznaczało, że mordercą był jednak inny pies? A może jakiś pies znający okoliczne plotki był szpiegiem mordercy? Ale kto w dzisiejszych czasach nie zna plot? Zupełnie jak w biurze projektów Chmielewskiej – wszyscy byliśmy podejrzani. Niestety, między bajki dla krnąbrnych szczeniąt można było włożyć historię o wielorękich demonach i szybkich diabłach, choć pozbywałem jej się z trudem... W końcu baśń bezpiecznie wyklucza

okrutną rzeczywistość. Moim zdaniem suki najpierw uspio, a później uduszono, stąd identyczne postępy *rigor mortis*. Czym je uspio? Nie miałem pojęcia! Ale na pewno nie usnęły za sprawą zatrutego jabłka. Gdybym mógł uczestniczyć w sekcji! Wczuć się w martwe cielesne humory, amalgamaty limfy, krew, upuszczony mocz, którego nawet kropla nie rosiła trawy, co było kolejnym dowodem na to, że panny zabito gdzie indziej. Cała nadzieja w... człowieku. Ich panu – starcu o twarzy smutnego błazna i okularach grubych jak denka szklanek. Wierzyłem, że pomimo spokojnej fizjonomii obudzi w sobie lwa i będzie próbował odkryć, kto zabił Jovankę, Janinę, Józefinę. A może inaczej... Morderca czy mordercy należeli do rasy ludzi, więc w gruncie rzeczy ich interesy musiały być ludzkie. Jeśli pomagierem zaś był pies, to co nim kierowało: strach czy wierność?

Rozbolał mnie koniec nosa! Powachlowałem się uszami i doszedłem do sromotnego wniosku, że jedynymi postaciami, przed którymi nie ukryjesz istoty i okoliczności śmierci, były siostrzyczki. *Animula vagula, blandula*. Czyżbym miał wywołać ich duchy? Iść do kopniętego Jeremiasza, jak Saul do wiedźmy z Endor? Ale przecież Saul przegrał bitwę! Ja zaś byłem, no... Superdog!

– Jesteś baranem – powiedział Jeremiasz, czupurno-paskudny i okrutnie nawiedzony terier gryfik, kiedy przedstawiłem mu swój plan wywoływania duchów J&J&J. Rzecz jasna, w swej pysze proroka samozwańca nie był zdziwiony, że zwracam się z tym do niego, bo i do kogo innego miałbym się zwrócić? Nie było w całej okolicy nikogo innego dość nawiedzonego i szalonego, aby rozmawiać z żywymi czy urojonymi duchami, bogami, ufoludkami, Elvisem Presleyem...

– Jestem psem – sprostowałem uprzejmie. Towarzyszący nam Tofu przytaknął niemym, acz teatralnym kiwnięciem głowy.

– Byłeś.

Nie zamierzałem się z nim kłócić. I tak był trudny. Westchnął.

– Musisz zjeść wilczą jagodę – sprzedał mi receptę. Gdybym istotnie miał trzecie oko, ze zdumienia wyskoczyłoby mi z orbity. Zmarszczyłem nos.

– Przecież to jest trujące – szcęknął Tofik.

– I o to chodzi.

– No nie wiem – powiedzieliśmy równocześnie z bassetem.

– To po co tu przyleźliście i przerwaliście mi sikanie? – Miał iście biblijne problemy z prostatą. – Zjesz jagody i doznasz wizji zaświatów.

– Oby już nie na stałe.

– Oprócz jagód musisz najeść się nietoperzach bobków.

Uprzejmie mu podziękowałem, jeszcze chwila i kto wie, co wymyśli.

– Łapa potwierdza gwiazdy – rzekł Jeremiasz, cokolwiek to miało znaczyć.

– Zjesz wilczą jagodę? – upewniał się Tofik, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. Taki jest problem z byciem podwórkowym superbohaterem – trzeba ratować te wszystkie księżniczki i znosić to, że pewien basset wpatruje się w ciebie jak w gadająco-płaczący obraz.

– No. – Czyż stare przekazy nie mówiły, że wilk może zjadać wilcze jagody i nic? To znaczy: żyje. W końcu z jakiegoś powodu tak nazwano ten diaboliczny owoc. Zastanawiałem się, ile pokoleń dzieli mnie od dzikiego krewniaka? A kod genetyczny? Czy jestem tak podobny do wilka jak człowiek do szympansa albo adwokacik Laury do ryjówki? Wkrótce miałem się przekonać. O ile o tej porze roku znajdę te jagody... W razie czego, licząc na siłę placebo, postanowiłem nazreć się czegokolwiek. W tym przemyśleniu utwierdził mnie gęsty i lodowaty jesienny deszcz, którym nagle wrzasnęło niebo. Tofik i inni grzali już swoje dupski na kolanach własnych golców, a ja jak parias tułałem się po lesie. Starłem się pamiętać o tym, że w starożytnym Rzymie cesarz zawsze marzył – miał „przywilej” chodzenia wyłącznie w todze! Jedna jagoda, dwie jagody, żadnej jagody. Grzyb, a dokładniej psinka, psi grzybek o obscenicznym kształcie, figlarnie wyrósł na mojej ścieżce. I jeszcze jeden, o tutaj... Zjadłem to, co było. Skoro wilk może jagodę, to ja...

To musi mieć jakąś odtrutkę! Wszystko ma odtrutkę! Odtrutką na życie jest śmierć! Czuję się, jakby ktoś wziął mój łeb, czyli czerep, i wsadził go do wiadra z wodą, tylko zamiast wody była krew. O mamusiu! O ciepło twoich zaginionych sutków! Lauro! Ja tonę. Topią mnie! Oddajcie mi moją inteligencję – mózg jak żabi skrzek wpadł do krwi i machając, odpłynął do morza. Jestem rybą. Jestem grzybem. Kim jesteś? – zapytałem gąsienicę. Teraz? – odpowiedziała Alicja. Jestem psem!

Jestem głodny! Jestem psem. Mogłem być karłem albo wszechświatem. Gorączkuję. Sromota sromotnika. Trzeba było zjeść nietoperze bobki. Dosięgnęłam dna, dna wiadra. Widzę trójgłowego psa. To Cerber, Strażnik Podziemi. To już? Umieram. Nie? Nie, to nie Cerber. To trójgłowa suka. Patrzą na mnie wąskie łby Jovanki, Janiny, Józefiny. Dziewczynki? Któraś z nich otwiera paszczę (paszczę?!) i ryczy na mnie jak lew z czołówki MGM.

– Co robił Darryl Zanuck, nim zaczął produkować superfilmy? – zadaje śmiertelne pytanie cerberosfinks.

Nie wiem. Czuję, że w lesie podnosi się mgła. Jakiś obłok mnie dotyka. Rudy duszek. Gruba wiewiórka. Och... To Sybille. Ruda spanielka kiwa głową i szepcze. Mówię: och...

– Pisał scenariusze dla psa Rin Tin Tina. – Tak. Brałem udział i wygrałem. A teraz jestem niedysponowany. Czekolada dobrze mi robi. Czekolada uszczęśliwia.

Czułem się jak czworonożny Harry Angel. Bez paniki, powtarzałem sobie. I nie mogłem uwierzyć w te osobiste zapewnienia, bo oto dotarła do mnie cała prawda: moje ciało, wierny pies każdego psa, zbuntowało się przeciwko mnie.

– Ci, którzy mnie nie słuchają, sami sobie są winni – powiedział Jeremiasz. Oklepana fraza proroków. Choć znałem bardziej denerwujące: „Cesarz i armia mają się dobrze”, odczytywana na otwarciu posiedzenia starorzymskiego Senatu, nawet jeśli Augustus właśnie walnął w kalendarz, a legiony brały bęcki od Galów. Trzeba było dopiero mojego ulubionego cesarza Hadriana, żeby ten nakazał heroldowi przestać się wydurniać.

– Należało zjeść te bobki, Habsburska Wargo – powiedział Tofik.

– Do takich rad nie jest mi potrzebny *consigliere* – warknąłem.

– E tam.

– Dobro i zło jest sprawą nawyku – Jeremiasz dostał metafizycznej sraczki, kiedy ja próbowałem usadzić swoje rozchwiane ciało astralne w worku trzewi. Wciąż przed oczami latały mi mroczyki – gdyby nie to, wcześniej zauważyłbym, że oba psy na jednej przedniej łapie mają zawiązany czerwony sznurek.

– A co to?

– Znak – rzekł konspiracyjnie Tofik. – Założyliśmy zakon.

– Kto?

– Wszyscy.

– Tak?

– Ordinis. Jeżeli chcesz, możesz zostać jego sociusem et amicusem.

Grzyby grzybami, ale tak rąbana łacina mogła zabić.

– Sprzymierzeńcem i przyjacielem.

– Właśnie.

– A jeśli chciałbym doń wstąpić? – zapytałem chytrze.

– Tylko najdzielniejsze psy mają wstęp do Łoży Zakonu.

– Przecież powiedziałeś dopiero co, że do Ordinis należą wszyscy!

– Ty nie.

– Aaa... I kto to wymyślił? Genialny Wielki Kinol!

– Przynajmniej staram się coś robić, kiedy ty ćpasz ukradkiem po lesie.

– I ty Brutusie przeciwko mnie!

– Tramp też się nie zapisał. Ale czego oczekiwać od kundla.

– Pewnie go nie stać na składkę!

– My walczymy ze złem i identyfikujemy je. Koniec z zabójstwami na naszym podwórku.

– Lepiej by było zidentyfikować, a potem walczyć – rzekłem gorzko. –

A macie w swoich szeregach mopsa?

– No.

– To dobrze. Bo masonki (przyjmujecie oczywiście suki, zdrajcy!) musiały w akcie wierności wspólnocie całować pod ogon woskową figurkę mopsika.

Odmaszerowałem. Te psy kompletnie zwariowały! Trzeba zatrzasać drzwi świątyni Janusa, bo oto na własnych śmieciach czekała mnie wojna. Ale najpierw musiałem się wyspać. A może byłem dla nich zbyt surowy? Tchnienie śmierci i wizja własnego ciała upchniętego w czarnym worku może bardziej przewrócić w głowie niż trafiona szóstka w totka. Szczególnie że śmierć i bez grasującego seryjnego mordercy jest bardziej prawdopodobna. Ordynarna Ordinis! I pewnie za moment

wymyślą iście „kocie” orgie. Bo czy tak nie robią wszystkie ssaki? Kiedy zeszedł zimy w remontowanym zsywie znaleziono ciało zamrożonego kloszarda, cztery przerażone kobiety zaszły w ciążę, a nawet Laura zaczęła się łamać, myśląc „na serio” o pozostawieniu na tym padole gaworzącej i plującej zmiążdżoną marchewką przepustki do nieśmiertelności. Życie podąża za śmiercią i vice versa. Nawet sam Pan Bóg nie wpadł na nic oryginalniejszego, bo czymże innym jest zmartwychwstanie?

Chciałem do domu.

– Nie ma mowy – odpowiedział Byron. Tatuś nad tatusiami.

– Posłuchaj, łapię się każdego tropu...

– Nie.

– Cholera. Nie będę cię prosił! – zaszczeakałem.

– I dobrze. Wtedy bym uznał, że zwariowałeś.

– Nie widzisz, co się dzieje? Przecież my żyjemy w domu wariatów. – Byron jako nieliczny nie nosił na łapie sznurka.

– Pieprzone Ordinis.

Podsluchujące naszą rozmowę szczenięta berneńczyka natychmiast nastawiły uszu.

– Nie słyszeliście tego! – szczenięta Byron.

– Tak, tato.

– Staram się je chronić, Al. Nie zrobisz z nich żadnych świadków.

– Wierzę. Ale czy na pewno ci się udaje?

Micky i Sły, zachwycone tym, że rozmawiają o nich dorośli, na dwa niewyparzone pyszczki i zupełnie jakby na moje prywatne zamówienie, zaczęły skandować jedną z narkomańskich tofikowych wyliczanek.

– Tu srocza warzyła – skubały się wzajemnie, jak to szczenięta – tu ogonek sobie sparzyła. Temu dała na miseczkę, temu dała na łyżeczkę, temu, bo grzecznie poprosił, temu, bo wodę nosił, a temu najmniejszemu nic nie dała, tylko fruuu, poleciała...”

– „I tu się schowała” – dokończyłem szeptem, starając się nie patrzeć, jak Byron dyscyplinuje swoich synów.

– Hej, Al! – Berneńczyk powrócił zdyszany i zniesmaczony. – Najpierw musisz mi dać słowo, że nikt się nie dowie o tych zeznaniach.

– Możesz na mnie liczyć, Byronie.

Małe berneńczyki przycupnęły grzecznie przed nami, ale widać było, że to one, niby to odpowiadając na moje pytania, chcą dla siebie wyciągnąć wszystkie odpowiedzi dotyczące prawdziwego życia, toczącego się gdzieś za obsiustanym kojcem.

– Lubicie spacerować o świcie? – zagadnąłem. Powolutku, powolutku będę zbliżać się do clou. Szkoda, że nie otaczają nas zabawki, że nie mam kieszeni, a tym bardziej słodczy, które mogłem z niej wydobyć. „Czekolada uszczęśliwia”.

– Nie. Ale tata mówi, że to zdrowe.

Byron westchnął głośno.

– Tata chce tylko waszego dobra.

– I my chcemy swojego dobra. Tylko że czasem to jest inne dobro. Lubimy się wyspać. – Miały zwyczaj mówić jednym głosem. A były do siebie tak podobne (wykapany tata – obie wersje), że od razu postanowiłem dać sobie spokój z wysiłkiem, aby je rozróżnić. Szczególnie że nie posiadały jeszcze indywidualnego zapachu. Oprócz uroku szczenięcia czarowały nas koktajlem oksytocyny i feromonów, które młodą mamę miały przekonać do karmienia i tulenia, a tatę do tacierzyństwa i wszystkiego, co się pod tym hasłem kryło. A mogło kryć się wiele i różnie. Stosunek ojców do dzieci oraz vice versa – ileż tomów o tym napisano! Główny trend w literaturze przed rewolucją feministyczną, a i teraz... również.

– Opowiedz mi, jak wczynie rano... – nie powiem przecież, do cholery, „bladym świtem”! Co ja w ogóle wiem o dzieciach? – ...znaleźliście w lesie ciocie Jovankę, Janinę i Józefinę?

– Chodzi wujkowi o te zimne trupy?

Spojrzenia moje i Byrona skrzyżowały się jak szpady.

– Czy one... czy ciotki naprawdę były zimne?

– Wie wuj, jakie są charcice.

– Może wiem, może nie...

– To wujek mało wie.

– Dzieci, trzymajmy się tamtego poranka. Czy znalezione przez was psy były zimne, sztywne?

– Nie.

Czy powiedzą mi zaraz, że ciotki wyglądały jakby spały? W każdym razie tak gadają w telenowelach, bo nie wiem jak w dobranockach. Szczególnie w tych z Królikiem Bugsem i jego wielką, fosforyzującą marchewką.

– Aha. A czy nie wydaje wam się, że oprócz was był tam ktoś jeszcze?

– Morderca!

– Tata! – Chór się rozdzielił.

– To znaczy tata krył się po chaszczach.

– Pilnowałem was, smarki!

– Ciii, Byron – szczeknąłem. – A morderca? Były tam jakieś psy? – Oczy Byrona zrobiły się okrągłe i pojawiło się w nich nieme pytanie: „Co ty kombinujesz, Al?”. – Jacyś ludzie?

– Paru. Paru ludzi. Umykali z lasu.

– I tych ludzi było wielu?

– Dwóch.

– Na pewno dwóch?

– Nie jeden. Jesteśmy mali i umiemy liczyć tylko do dwóch. Nie chodzimy przecież jeszcze do szkoły.

– Więc tych ludzi było więcej niż jeden.

– Jeden to człowiek, więcej to ludzie, wujku.

– Mężczyźni? Kobiety?

– To byli faceci, chociaż gdyby się zastanowić, to i oni...

– Opiszcie ich, chłopcy.

– Dwunożni łysi.

– Wszyscy?

– Tak.

– Na pewno?



– Może jeden niższy od innych. I inaczej łyсы.

– Jak inaczej?

– Jak tata, kiedy ma problem z sierścią.

Krępująca pauza.

– Możemy iść się pobawić?

– Ci łyсы co robili?

– Patrzyli na nas.

– Kurwa!

– Tato, nie przeklinaj!

– Coś jeszcze?

– Wsiadali do... do... samochodu.

– Jaki to był samochód?

– Czarna wołga.

– Co?

– Tata mówi, że jak będziemy niegrzeczni, to nas porwie czarna wołga.

– To prawda, Byron?

– Nie masz dzieci, to się nie odzywaj, Al!

– Czy ten samochód na pewno był czarny?

– No...

– Srebrny? Zielony? Bordo?

– Bordo? Co to jest bordo?

– To był czarny samochód, Al – powiedział Byron.

– Skoro wasz tata tak mówi...

– I był taki dziwny, nie długi i niski, tylko wysoki i krótki.

– Auto terenowe. Nie rozpoznałem marki. Tablice rejestracyjne upačkane.

Dwóch facetów. Starszy: śmierzący i łyсы. Młody: wysoki, z ogoloną głacą. A teraz skończmy tę farsę. Muszę zabrać dzieciaki do domu.

– Gdybyś sobie jeszcze coś przypomniał, Byron...

– To wiem, gdzie cię szukać.

Kompania odmaszerowała. Goniły ją ojcowskie złudzenia Byrona, głośno

popiskując.

A tak w ogóle: „Drżycie, poeta pamięta!”.

Wybrałem okreśną drogę do domu. Gdzieś w chaszczach czała się zaniepokojona Laura ze smyczą w garści, a ja nie zamierzałem wracać do blokhauzu, niczym jeniec w łańcuchach podczas triumfu zwycięskiego Cezara. A figę!

Przechodziłem obok fasady kościoła, co nigdy nie robiło na mnie, grzeszniku, wrażenia, bo zanurzony w starożytności nadal sytuowałem prawdziwych chrześcijan w katakumbach. Po drugie przy mojej ulicy były trzy inne kościoły, widać Bóg musiał mieć tyle rezydencji co popularne gwiazdy filmowe w okresie prosperity. Tyle że o dwutysięcznej prospericie jeszcze nie słyszałem. Tu rzeczywiście musiało być coś nadprzyrodzonego. Rzuciłem okiem na pachnące kadzidłem, uchylone drzwi i zobaczyłem, jak dyskretnie, ocierając się bokiem o soczyste drewno, ze świątyni wychodzi kotka. Czarno-biała sąsiadka z folwarcznego dworku. Zatrzymała się, oceniła mnie na odległość i najwyraźniej nie widząc we mnie żadnej krwiożerczości, co tak często zdarzało się zestresowanemu golcom, ponowiła wędrówkę, aż nasze drogi się spotkały.

– Jak to jest – zapytałem filozoficznie – oddawać cześć Bogu, kiedy kiedyś samemu było się bogiem?

– Och, Egipt – uśmiechnęła się. Dodam, że pogoda była marna i każdy zmarzluch, nieważne: dwunożny czy czworonożny, marzył o sączeniu drinka przez słomkę, tuż pod pyskiem Sfinksa. – Uroczo było.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– A nie jesteś za ciekawy?

– Życie zmusza mnie do ciekawości. Najchętniej bym się wylegiwał.

– Niech ci będzie, Al. – Znała moje imię! – Powiedzmy, że wpadłam do kościoła na taką małą ekumeniczną herbatkę.

Później parsknęła i zostawiła mnie.

– Hej, a ty jak się nazywasz?

Nawet nie zastrzygła uchem. Niech ci będzie, pomyślałem sobie.

Stałem na naszym żółtym, powiędłym trawniku i obserwowałem Tofika.

Z pewnej odległości. Jeremiasz też tam był, ale znacznie bliżej, prawie opierał się o basseta. W zasadzie to go podtrzymywał. Cmoknąłem z niechęcią, widząc czerwone sznurki na ich łapach.

– „Jadę na wycieczkę i zabieram ze sobą automatyczny akumulator, brzęczącego brzęczyka, czekoladowe ciasteczko...” – Tofik recytował dziecięcy anonimowy wierszyk. Głosem japońskiego psa robota. Tylko że japońskiemu produktowi nie rozjeżdżają się tylne łapy i nie kiwa się jak kundel chory na chorobę sierocą.

Zakląłem siarczyście. Sekta!

– Nie powinienes karmić go tymi grzybami – rzuciłem do Jeremiasza.

– A co mu będzie? – odszczeknął się. – To basset.

– Taaak. Basset – zgodziłem się. – Basset hound.

– Jesteś ostatnio przewrażliwiony.

– I co? – odgryzłem się.

– I nic – szczeknął podwórkowy prorok. Zaskakująco spokojny. Patrzył nie na mnie, a na przerastającego go o dobre dwie głowy sflaczałego Tofika. Chronił go czy obserwował jak bakterię pod mikroskopem, własnoręcznie wyhodowaną na płytce Petriego?

– Nic? Nie proponujesz mi kozich bobków?

– Nie. Po co?

– Nie poznaję cię. A ty coś żarł?

Nie odpowiedział mi, bo Tofik właśnie omdlał, przygniatając teriera całym swoim miękkim ciężarem.

Nie pomogłem im. Ruszyłem w zupełnie innym kierunku. Ostrożnie jak matka sześcioraczków w ponownej ciąży przeciąłem dwie ulice i ruszyłem przez park. Gdzie park się kończył, zaczynały się uprawy Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego i padok koni przyszyłych weterynarzy. W rezerwacie obok wisiały tabliczki ostrzegające przed wściekлизną. I tak bym się w niego nie zapuścił. Skutecznie odstraszaali mnie i młodzi lekarze, i stare konie.

Poszedłem pod Dąb i się zatrzymałem. „Mieszko” rósł (wciąż jednak rósł!) na

uboczu, jak porzucony bóg. Dziewięćset lat życia i jeszcze nie znudził mu się ten padół, nie złamał go. No, może trochę. Pień był wzmocniony betonem, wokół żadnych żołądzi, tylko odpryski zaprawy.

– Cześć, stary. I jak tam?

Milczał. Nawet mi nie zaszeleścił stetryczalymi konarami. Szkoda, najpierw nie słuchamy starców, a później oni milkną.

– Co przeoczyłem? – pytałem go uparcie.

Powinien mnie rozumieć, mimo że ja byłem psem, a on drzewem. W swoich najlepszych latach, w średniowieczu, widział niejedno polowanie. I hordy psów myśliwskich. Psów świętego Huberta – byliśmy wtedy popularne jak dziś Yorki.

Cóż za paradoks: święty Hubert najpierw nazywał się Franciszek. Był myśliwym i przed swoją sforą ocalił rannego jelenia. Ten jeleń później do niego wracał, tyle że to nie było zwykłe zwierzę, a Jezus w zwierzęcym przebraniu. Taaak, średniowiecze.

– Piesku! – zawołał za mną głos. Znałem go. Odezwał się starszy facet. Miał na nosie zaparowane okulary, o szklach grubych jak denka butelek. Płakał? Pewnie płakał.

Podszedłem do niego. Rękawy jego płaszcza wciąż nosiły w sobie zapach charcic angielskich, choć intensywniejsza woń biła z piersi, gdzie Jovanka, Janina i Józefina opierały swoje wąskie łapy.

– Idź stąd piesku. Wracaj do pana. Na pewno się martwi.

Zaskamlałem pro forma.

– Ja też tęsknię piesku. Za moimi trzema dziewczynami. Otruli mi je, całkowicie mi je otruli. A potem... – pociągnął nosem.

Wcisnąłem ogon pomiędzy pośladki i ruszyłem tam, gdzie powinna być Laura. *Semplice*, tak. Czuję się trochę szalony.

„Pies zadaje ból tylko, gdy umiera”, powiedziała Brigitte Bardot. Zamierzałem udowodnić, że się myli.

Pacnąłem go, aż mnie łapa zaboląła. Waliłem jak w pusty bęben, starając się jednocześnie przypomnieć sobie najefektowniejsze sceny walk z filmów Tarantino

i książkowe opisy walk gladiatorów. Tańczyłem z nim.

– Co ty myślisz, że jesteś John Travolta? – jakby się ocknął.

– A ty Uma Thurman? – warknąłem.

Zacisnąłem zęby na jego luźnej skórze, fałdującej się na grzbiecie,  
i zataszczyłem nad stawik.

Plasnąłem nim w wodę.

Jakaś zaba patrzyła na nas, siedząc na kamieniu.

– *Plaudite, cives!* – szczeknąłem do niej. – Klaszczcie, obywatele!

Odskoczyła na bok.

Mokry Tofik gramolił się po gliniastym brzegu.

– Co ci odbiło? – jęczał.

– Nie podoba się?

– Wcale – parsknął wodą. – Powiem wszystko mojemu panu!

– Tofik, uspokój się. To ja, Al. Twój przyjaciel – zaszczekałem.

– Właśnie na ciebie patrzę. Cholernie uważnie się przyglądam. Co to ma być?

– Detoks – zabawnie poruszyłem uszami. – Mamy do pogadania.

– Kompletnie cię pogięło.

Zgodziłem się. Też radośnie.

– Schronisko. Co wiesz o psach ze schronisk?

– Że trzeba im pomagać.

– I?

– Nie śmiać się. Dzielić kocem. Karma? – powiedział to z wyraźną  
wątpliwością w głosie.

– Ale z ciebie Mały Lord, Tofu.

– To zapytaj Trampa!

– Nadal uważasz, że on tam był?

– A skąd by wziął szczeniaki?

– Skądkolwiek. Niestety.

– Były zaczipowane. Porzucone szczeniaki czipuje się tylko w schronisku.

– Skąd wiesz?

– Bo nie jestem ślepy. Miały ślady na grzbietach.

Zamyśliłem się.

– Myślisz, że Tramp też ma chip pod skórą?

– Nie wiem. U starszego psa trudno dostrzec wybrzuszenie. W ogóle go nie widać.

– Ale co jest w takim czipie?

– Wszystko. To znaczy jest numer. Wchodzisz na odpowiednią stronę w internecie, wklepujesz cyfry odczytane z chipa. Straż Miejska ma takie czytniki. Wystarczy przyłożyć do grzbietu.

– I?

– Zgłupiałeś – stwierdził sentencjonalnie. Doniosła pauza. – I masz wszystko.

Za numerem idzie adres właściciela, telefon.

– Nazwisko?

– Oczywiście, że nazwisko. Co z tobą?

– Myślę.

– To rozumiem.

– Sądzisz, że Tramp ma taki czip?

– Sądzę, że ma. Ale to jego zapytaj. Najlepiej, kiedy turlacie się po tych swoich poduszkach. – Otrząsnął się z resztek wody i odmaszerował.

Tylko on jeden zżerany przez zazdrość mógł wyglądać tak dumnie.

Niesiony nieciekawymi myślami wparowałem na swoją klatkę schodową i nagle coś mnie zatrzymało. Dyszenie. Oraz przeciągłe łubu dubu. Łubu dubu. Zmarszczyłem nos w gniewie. Ludzie! Z wszelakich lektur i seansów DVD, wśród których prym wiodło ukochane przez Laurę *9 i 1/2 tygodnia*, wiedziałem, że ludzie wybierają osobliwe miejsca, aby oddać się kopulacji. Najwyraźniej powtarzalność samego aktu ich nużyła. Jak nie możemy zmienić partnera, to chociaż tapetę! Łubu dubu. Łubu dubu.

Wiedziałem, że golce robią to w windzie, zamieniając się w aktorów-amatorów, już nie tylko przed swoim sapiącym kochankiem czy kochanką, ale również nieświadomie przed ochroną budynku. Szanowni Państwo, nowoczesne

windy wyposażone są w kamery przemysłowe! Łubu dubu. Łubu dubu.

– Portki w górę!

– Słucham? – Zza poręczy wychylił się łeb zdyszanego Yossariana. Grzeczny chłopiec, dobrze ułożony, nauczył się mówić „słucham”, zamiast plebejskiego „co”.

– Co ty tam robisz? – zadudniłem. – Znowu się zgubiłeś?

– Nie. Ćwiczę.

– Co?

– Ćwiczę, biegając po schodach. Góra, dół. Zależy mi na tym, aby rozwinąć muskulaturę łap. I polepszyć kondycję.

– Po co, chłopcze?

Popatrzył na mnie ze zdumieniem. W porządku, wołałem zobaczyć w jego oczach zdumienie niż politowanie. Znaczy byłem nie na czasie.

– No, chodzi mi o niunie.

– Niunie?

– Sikorki.

– Będziesz ganiał za ptakami?

W jego wieku wszystko jest możliwe.

Zszedł do mnie i szczechnął konspiracyjnie:

– Suczki. Chcę mieć dobrą kondycję dla suczek.

Aaa, nie pomyliłem się tak bardzo, jednak chodziło o seks.

– Na wiosnę chcę zaszaleć.

– To dobrze. – Co innego mogłem powiedzieć? Nie zestarzałem się jeszcze tak bardzo, aby wysyłać cudzą młodość do stu diabłów.

– Al – przysunął się – jak mówi się po włosku „mężczyzna”?

– *Uomo*, chłopcze.

– Omo – powtórzył z rozmarzeniem. – Jak nazwa proszku. Prawie.

– *Uomo* – powtórzyłem.

– Nie jestem już chłopcem, Al. Jestem omo.

– Może trochę ci jeszcze brakuje.

– Tak, sikorki – znowu zaczął przebierać łapami. – Ale mój pisiorek jest

gotowy do dzieła.

– Twoje co? – Uszy mi się uniosły.

– Pisiorek – powtórzył z dumą.

Temu szczeniakowi naprawdę brakowało ojca. Poczułem się w obowiązku...

– Fallus. Fallus to brzmi dumnie. Na „pisiorka” nie polecą żadna laska!

– Faulus?

– Fallus. – Moje westchnienie odbiło się głębokim echem po klatce. – Przecież

nikt ci jeszcze tego pisiorka nie sfaulował.

– O nie. Pisiorek... to jest fallus ma się wspaniale.

– Cóż, prawie się tego domyślam.

Mam sześć lat i już zostaję w tyle.

– Fallus. Omo – zaczął powtarzać raz po raz, jakby wkuwał zadaną lekcję. Na przykład: największe rzeki Europy. Albo: inwokację z *Pana Tadeusza*: „Pisiorku, nadziejo moja...”.

– Z resztą sobie poradzisz? Wiesz, pszczołki i takie tam...

– Brakuje mi tylko suczki.

Pomyślałem o suchej zaprawie na nodze żony admirała, ale zaraz ugryzłem się w język. Jeden kastrat na piętrze wystarczy.

– Yossarian – coś naraz wpadło mi do głowy. – Znasz Trampa?

– Każdy go tu zna.

– A mógłbyś go o coś zapytać?

– Jasne!

– Zapytaj go, czy ma wszytego chipa.

– Chipa? – Przechylił łeb. – A jak mi przylutuje?

– Nie zrobi tego. Jeśli ograniczysz się do jednego pytania. A teraz biegaj, biegaj... *Primavera!*

– Słucham?

– Wiosna, synu. Myśl o wiosnie.

Miałem ochotę pojechać windą.

Nie znoszę sekretów. Przynajmniej tych nie dotyczących starożytności.



Tajemnice dnia dzisiejszego śmierdzą mi kryminałem. Albo głupotą. Ludzką głupotą, zawiścią i chciwością. Psią głupotą też. Trudno mi było patrzeć na współbraci, którzy z dumą obnosili łapy obwiązane sznurkiem, jakby były kawałkami baleronu. Świat plotkował.

Drapieżne gawrony czy inne kruki o świecie sprzymierzone z sowami śmiały się z nas wszystkich. Nie potrafiłem ich zmusić, aby zaśpiewały: „Co jest takiego zabawnego w psach?”. Szczególnie w psach, które grupkami nocą obijają sobie mordy o drzewa i gnają na sabat. Seks grupowy? Trudno mi było sobie wyobrazić Jeremiasza, a tym bardziej Tofika (terier mógł mnie jeszcze czymś zaskoczyć) jako mrocznych kapłanów seksualnego kultu, w którym psia sperma miała odstraszać demony. Z drugiej strony, jeśli ludzie zakładają stowarzyszenia swingersów albo tajne loże, gdzie na golasa kicają w świetle księżyca, oddając cześć kozłom, to co mogło przyjść do łbów psom? Jakiego Tofu robi idiotę z siebie i z nas wszystkich? Władza nad sekretem mogła mu uderzyć do głowy. Ordinis? Ja mu pokażę Ordinis! Jednak najpierw ktoś musiał, chociaż w słowach, pokazać je mnie. Ktoś, kto świetnie widział w ciemnościach. Ktoś dyskretny. Ktoś, kto i tak miał psy za idiotów. Znaczą kot.

Z kotami zaś ze wszystkich znanych mi psów, które nie należały do ordynarnego Ordinis, dogadywał się tylko Tramp. Poprosiłem go o międzygatunkową mediację. Podpytałem go o koty, które również były dla mnie sekretem. Zawsze wyglądały jak istoty z innego wymiaru, nawet kiedy wzorem czarno-białej kocicy wylegiwały się na słońcu na wpół zapadniętym dachu budynku folwarcznego.

– Jak ma na imię ta kotka? – pytałem o tę czarno-białą, którą obserwowałem przy słonecznej kąpieli. Sytuacja zupełnie podobna do tej, w której król Dawid podpatrzył Batszebę, co zmieniło losy Królestwa.

– Nie ma imienia. Koty w ogóle nie mają imion.

– Jak to?

– Koty uważają, że jeden kot jest wszystkimi kotami na świecie. A wszystkie koty jednym kotem.

– Tak razem, kotki i kocury? Wszystkie?

– Tak.

– To do nich podobne. – Stereotypy lęgną się w głowie jak pchły w sierści. Nie poradzisz.

– Ta kotka z ruin nie ma imienia. To znaczy ma. Jest po prostu Kotką.

– I rozejrzy się dla nas? – dociekałem.

– Nie. Rozejrzy się, bo jej to po drodze.

Logika Trampa, nie, kocia logika, którą on tak łatwo przejął, przerażała mnie, a co bardziej niepokojące – podniecała. Kotka z sąsiedztwa... Kotka o imieniu Kotka. Kotka będąca uosobieniem wszystkich kotów i kocic. Jak coś tak prostego może być tak skomplikowane? I nie utrudnia kotom życia, tylko wszystkim innym wokół? Co za magiczne istoty, te koty, zrymowało mi się w myślach. I od razu wróciły do mnie wszystkie durne wierszyki wyszczekiwane przez zagrzybionego Tofika, jakby wypadły nie z gardła, a z dna metalowego wiadra.

– Że ty potrafisz dogadać się z kotem? Gdzie się tego nauczyłeś, Tramp? – Głos wewnętrzny podpowiadał mi, że w schronisku, gdzie psy i koty jadą na jednym wózku.

– Z niejednego pieca chleb się jadło.

Mogłem się założyć, że nie kłamał. Nawet w kwestii chleba.

Ha! Doprawdy tego mi jeszcze tylko brakowało! Laura wpadła do domu jak burza, a mój godny zwykle ogon schował się nędznie pomiędzy pośladki, żeby tylko nie został wzięty za organiczny piorunochron. Laura pieniała się jak Królowa z *Alicji w Krainie Czarów*. „Przemaalowaliście róże? Ściąć im głowy! Ściąć im głowy!”

Laura, moja prawdziwa Rzymianka, która pojęła wzorowo naukę starożytnych, że nie wystarczy ukatrupić tego, kto zawinił, ale i jeszcze jego żonę, dzieci, braci, siostry, bratanków, siostrzeńców, starą matkę i ojca, ogrodnika, kucharza, psa oraz kwiat niewolnic. Kiedy rąbnęła torbą o ścianę, w której nosiła swój jedyny majątek oprócz mnie, to jest okulary za kafla, pojąłem, że tym razem jest naprawdę źle... albo że to początek menopauzy.

Laura pieniała się jak Rzymianka, ale jej obelgi płynęły wprost z neapolitańskiego rynsztoka. Co temu dziecku czytano w dzieciństwie? Podszedłem

do lodówki, by obwąchać drzwiczki i zorientować się po domniemanym intensywnym zapachu, czy mamy w zamrażalce zdechłą rybę, którą sycylijskim zwyczajem należało wysłać temu, kto myli się, że przebywa jeszcze wśród żywych.

Szukałem, usłużnie podsuwając Laurze co bardziej plugawe zwroty, bo dopóki się nie wyładuje, nie dowiem się, kto ją tak wkurzył.

*Tel dei Tali*, taki owaki, *stronzo* (czyli ludzkie gówno, ale uwaga – o zbitej konsystencji), szmondak, co nie było obelgą włoską, a wziętą z repertuaru narodu wybranego, i jeśli Bóg rozumiał w jidysz, to właśnie w tej chwili zamknął oczy. „Żeby ci wypadły wszystkie zęby z wyjątkiem jednego, a ten, co ci pozostanie, niech cię napieprza po wieki wieków, amen”. I tak do dziesiątego pokolenia.

Naiwnie, jak naiwnie czekałem na tęczę, niby mitologiczny różnobarwny łuk mostu prowadzący do piekła, czyli i w tym, i w wielu innych wypadkach do informacji. Byłem już bliski wyzionięcia ducha, trząsałem się jak osika, a gały zalepiła mi starcza katarakta, kiedy w końcu Laura odetchnęła i przycichła. Zabrała torbę (miałem nadzieję, że okulary są w całości, a nie przypominają odłamków lustra, którymi zabawiał się panicz Kaj), golnęła sobie drinka i poszła pod prysznic. Zmyła z siebie kwaśny pot i gotowa była opowiadać. Nie mnie, Sebastianowi. Do mnie wygłaszała monologi, kiedy akurat była bez faceta, a kolejna paprotka zdechła od nadmiaru przekazywanych jej słów (paprotki są wrażliwe i lubią Mozarta) oraz z braku wody i substancji mineralnych. Słuchałem więc piąte przez dziesiąte (a może dziesiąte przez piąte, bo Sebastian był raczej milczkiem), patrzyłem jak telefon komórkowy gwałtownie tracił metaliczny poblask w gotyckich palcach Laury i próbowałem to i owo poskładać w jedno. Wychodził istny Igor doktora Frankenstein!

Pryza uparł się, że Laura ma pojechać z nim na wycieczkę, która to wycieczka miała być niezbędna, aby można było pojąć jego mitomański plan, a później promować za sprawą firmy Laury. Nie, Pryza nie próbował jej molestować za pomocą swojego nędznego pisiorka. On zdecydował się na erekcyjne prężenie swojego wybujałego ego! Oczywiście znane były pierwsze założenia: powstanie Pryzowa fundacja, która otworzy schronisko. Za schroniskiem pójdzie cmentarz dla

zwierząt. Kto odprowadzi swojego pupila na wieczny spoczynek, ten przecież targany wzruszeniami nie będzie mógł swobodnie minąć nieodległych boksów pełnych piesków i nie zaadoptować któregoś z nich. Tyle strawa duchowa. Strawa cielesna: obok postawi się zajazd. Cudza śmierć potrafi wygłodzić, dlatego kultura wymyśliła stypę. Zajazd będzie oferował stypę po pieskach, a także porcję boeuf Strogonow po każdej wizycie na cmentarzu... Czasem trzeba coś zjeść, żeby poczuć się żywym! Opowiadając to, Pryza był nie tylko żywy i podekscytowany – fachowiec nazwałby to zapewne stanem manii. Zajazd i schronisko będą miały coś jakby wspólny wyszynk, dzięki czemu kucharki będą pracować bez przestojów, a wszystkie pikantne odpadki pochłoną biedne przygarnięte pieski. Cóż, nawet dla mnie to brzmiało dość komicznie. Dla Laury mniej, dla Sebastiana na pewno też, skoro wszystkie zyski miały iść przez fundację. A zyski chyba miały być, skoro wciąż mówiło się o oszczędnościach na psich żołądkach i wyprawach do miejsca typu NecroDonald!

Laura tak naprawdę poczuła się nie na miejscu, kiedy wraz z Pryzą osiągnęli cel podróży. Cmentarz dla zwierząt. Czy przyszli zapalić świeczkę, położyć na grobie gumową zabawkę, pomodlić się, odmówić mantry? Nie! To znaczy Pryza wcale nie miał na to ochoty. On kalkulował na bieżąco, jak duży musi być kawałek ziemi, żeby pochować w nim psa. Ile zwłok da się upchnąć na metrze kwadratowym? Po ilu miesiącach można wykwaterować nieboszczyka, robiąc miejsce nowemu? Dopłata cmentarna albo twój Azor ląduje w śmietniku!

Bardzo opłaca się mieć własny zakład kamieniarski, który będzie rył na marmurze te wszystkie słodkie imiona: Fuńka, Burek, Kacper etc.

Och, parking! Zapomniałbym, że oprócz wiecznego parkingu dla psów, miałyby być i tymczasowy dla ich państwa. Z opłatami! Na fundację! Na boeuf Strogonow!

Oczywiście psy, które nie wytrzymałyby rygorów życia w schronisku, miałyby swój spłachetek cmentarza pod płotem, a najlepiej pod parkometrem! Ha! Ha! Ha!

Weterynarz? Po diabła weterynarz? Weterynarz nie jest tak wielofunkcyjny jak kucharka!

Laura zapytała, czy mogliby już wrócić do miasta, bo jej trochę słabo.

NecroDonald na osiedlu! Na terenie rezerwatu! Nie dla psa kiełbasa! A jeśli biedny piesek ma biednego pana? Żadnego tam chciwego developera, ale gościa o wielkim sercu? Pomożecie? Pomożemy!

Pryza niechętnie i niezgrabnie wgramolił się do swojego samochodu (on był niski, samochód wysoki) i ruszyli. Laura zapytała, czy może zapalić? Tak, tak, w aucie Pryzy palić można, z Ameryki sprowadził i zainstalował w samochodzie filtry pochłaniające dym. Niech zwykła zapachowa choinka na sznurku dyndająca przy lusterku przestanie dyndać i się schowa! Laura może zapalić, ale nie wolno jej używać samochodowej popielniczki. Pod żadnym pozorem. Popiół – myk za okno. Spalony pecik za szybę... Trudne do zapamiętania? Nie, ale kobieta w stresie się zapomniała. Zgasła w popielniczce...

Wtedy nastąpiła Sodomia i Gomora! Wrzaski i histerie. A straty moralne pokryje jej agencja PR – świadcząc usługi Pryzie za darmo! A teraz do widzenia, audyencja skończona. Pryza wysadził Laurę na rogatce miasta, gdzie stała skamieniała niczym żona Lota, dopóki do niej to i owo nie dotarło... I nie złapała okazji do centrum.

*Tel dei Tali. Stronzo. Szmondak.*

Igor doktora Frankensteina.

Sebastian niósł go na rękach, a on zwisał bezwładnie. Przyglądałem się temu *con un groppo mel la*, z bolesnym supłem w gardle, jak mawiają Włosi. Okrutny morderca dorwał mojego przyjaciela, który... który zdawał mi się workiem nie zawsze koszernych tajemnic. Jedyne, co mogłem zrobić (*stupido!*), to wziąć w zęby poduszeczkę i w akcie ekspiacji, dziwnej modlitwy i ofiarowania złożyć ją u stóp Sebastiana, czyli gdzieś pod dyndającymi łapami Trampa. Sebastian mało się o nią nie wywrócił. *Stupido!*

Laura była mądrzejsza, od razu zadzwoniła do weterynarza. Ale cóż *dottore* miał powiedzieć? „Łazarzu, wstań”? Biedny, biedny Tramp. Zaskomlałem i wtedy pies się poruszył.

– Ostrożnie – dyrygowała Laura Sebastianem, kiedy kładli Trampa na łóżku. – Może mieć połamane kości. Co się stało?

- Znalazłem go przy samej ulicy. Pewnie samochód go potrącił.
- *Così non si fa* – szczeniłem w niebo. – Nie zgadzam się. *Ti prego!* –

Błagałem po chwili, rozmodlony niczym ateista w spadającym boeingu. – Tramp, Tramp słyszysz mnie?

Powieki miał mocno zaciśnięte.

– Trampik, zaraz będzie tu lekarz!

– Po co? – odezwał się cichutko.

– Tramp, ty żyjesz?!

– A co, ten lekarz to miał być patolog sądowy? – Wciąż nie otwierał oczu.

Udałem oburzenie, ale po sercu rozlała się radość.

– To nie był samochód.

– *Farabutti!* Łobuzy! – zawyłem.

– To był skuter.

Postanowiłem, odganiany przez Laurę, obmyć własną śliną rany Trampa.

– Zabiję ich – zadeklarowałem się, co nie było trudne.

– Daj spokój.

– Nie umieraj! – Zacząłem szorować pyskiem po jego zakrwawionym grzbiecie, aż Laura tak rąbnęła mnie ręcznikiem, że autentycznie zawrzała we mnie żądza mordy. Sebastian pociągnął mnie za grzbiet i zatrzaskał w łazience.

Siedząc na lodowatych kafelkach, mogłem ochłonąć z bólu i zgrozy, zupełnie jak chora Laura, która zawsze leczyła kaca, leżąc pokutniczym krzyżem na łazienkowej podłodze. Pokuta niesie zbawienie.

*Meno male*, pocieszałem się, całe szczęście jest tylko jedna rana! Ale czy Tramp nie ma krwotoków wewnętrznych? A kości? Czy skuter nie uszkodził czegoś wewnątrz? Na szczęście poruszył się, mówił do mnie. Inna sprawa, że madame de Pompadour, królewska metresa Francji, też puściła bąka na łożu śmierci, siejąc popłoch wśród tych, którzy myśleli, że pilnują trupa. – Jeszcze nie umarłam – zauważyła z satysfakcją. I skonała.

Madame de Pompadour, ta sama dama, która zapisała się w myślach filozofów, utracjuszy i komunistów jako kochanka, która rzekła do napalonego i bogatego króla:

„Po mnie choćby pustynia!”. Nie! Ona powiedziała: „Po mnie choćby potop!”. Jak mogłem zapomnieć, przejęzyczyć się tak okrutnie... Myśl, Al. Myśl, Al. I módl się.

Tramp miał na grzbiecie jedną krwawiącą ranę, którą właśnie opatrywał weterynarz, ten sam co uciął mi jaja. Postanowiłem się z nim nie witać. Ale podsłuchiwać mogłem.

Konował powiedział, że zabiera Trampa do psiego szpitala na USG i rentgen. Ale kości pies ma raczej całe. Miejmy nadzieję, większych obrażeń nie będzie. Tylko ta wąska, głęboka i poszarpana rana pomiędzy łopatkami. Wygląda trochę jak... Potrafiło go? Czyli musiał przyjąć uderzenie na grzbiet. Państwa pies miał dużo szczęścia, auto trąciło go kątem zderzaka i odrzuciło z drogi. Przysięgłbym, że to ugryzienie.

*Furbetto Tramp!* Cwany Tramp! Mogłem się założyć, że po jego chipie nie ma śladu.

Odważny Tramp! Sfingował własny wypadek. Rzucił się pod... rower? Że też Anna Karenina tak nie mogła. Co za pyszna intryga, aż musiałem się napić, bo z emocji zaschło mi w gardle. Dobrze, że Sebastian, jedyny prawdziwy facet w tym domu, nie opuścił pokrywy klozetu.

Wąska, głęboka i długa rana. Wąskie, głębokie, długie ugryzienie. Perfekcyjne, nie zabójcze, a efektowne. Niechybiające celu. Zadane wąską, elegancką szczęką, osadzoną w długiej arystokratycznej kufie. Madame Pompadour, oby twoja anielska alkowa miała wszystkie najlepsze wygody!

Pozostawało pytanie: jak Tramp namówił innego psa, aby ten uwolnił go od chipa? Co obiecał?

Z tym trzeba było się przespać.

Ściągnąłem z wieszaka szlafrok kąpielowy Laury i zacząłem ugniatać go łapami, aż na podłodze łazienki powstało pożądane gniazdko.

Pogoda była „pod psem”. Nie wiem, kto wymyślił to durne określenie, ale postanowiłem mu się podporządkować i odmówiłem wyjścia na zewnątrz.

„Na taką pogodę nie wyrzuciłbym psa z budy!” Cóż za łaska, o panie! Niektórzy ludzie najwyraźniej chcieliby, aby psy poczuły się nie tylko najemcami

skromnego M, ale w ogóle najemcami życia. Pokazałem Laurze zęby. Uznała – jak wszyscy wokół ostatnimi czasy – że najwyraźniej jestem trzepnięty, a ja po prostu czułem się wytrzebiony duchowo, niewyspany, a od wilgoci bolały mnie wszystkie kości. Starzałem się, niedługo niezbędne do życia okażą się kocyk, bujak, szklanka mleka i klej do sztucznej szczęki. Albo: czerwone porsche, viagra i młodziutka suczka o gładkim, ciepłym ciele. Skoro król Dawid mógł mieć swoją Abiszag, to w czym ja byłem gorszy? OK, nie zabiłem Goliata, ale czy nie mierzyłem się z nim co i rusz, jeśli przyjąć, że olbrzym Goliat to samo życie?

Laura wypuściła mnie na balkon, abym mógł sobie ulżyć. Może to było niehigieniczne, ale co to za satysfakcja lać ludziom na głowy. Czułem się jak Zeus odwiedzający Danae. A później spojrzałem w niebo. Było tak zachmurzone, że nawet samoloty nie latały. Dobrze w tym zjawisku było to, że przynajmniej żaden boeing nie wbije się w sam środek mojej wieży z kości słoniowej. Pogięty metal WTC kupiła jakaś azjatycka firma i teraz produkowała z niego lodówki. Czyżbyśmy wszyscy byli skazani na jeden wielki recykling? Jeśli tak, to Bóg był największym segregatorem odpadków. O ile w ogóle był. Radziecki kosmonauta stwierdził, że w kosmosie żadnego Boga nie widział; inaczej jego amerykański „kolega”, który po rozdzielaniu księżycowej powierzchni wrócił na Ziemię, schował skafander do szafy i został pastorem. Nieznane są ścieżki pańskie. Łajce za to było „wsiorawno”. Mamy przesrane, pomyślałem, paprząc do olbrzymiej donicy fikusa, aż Laura w końcu wpuściła mnie do mieszkania.

Pod sufitem, który tego dnia zdawał się wisieć wyjątkowo nisko (Laura się wściekła, ja – obraziłem), przyszedł mi na myśl film *Flip i Flap w Legii Cudzoziemskiej*. Ten, który kończy się katastrofą lotniczą. Flip wychodzi z niej bez draśnięcia, Flap ulatuje na chmurce. Ściemnienie. Flip, kontynuując ziemską wędrówkę, ze skromnym tłumokiem na ramieniu i z uśmiechem półgłówka spaceruje amerykańską route 66. Nie śpieszy się, ma czas na rozglądanie się po poboczu (w poszukiwaniu zwrotnych butelek, jak sądzę). Widzi konia. Grubego konia z czarnym wąsem i cygarem. Toż to Flap! Tyle że parzystokopytny! Happy end.

Jak by to było zginąć psem i odrodzić się człowiekiem? Ciarki mnie przeszły.



No i co z ciałem? Z psim ciałem? Ja nie chciałbym, aby moja „pusta skorupa” bloodhouna wylądowała na śmietniku. Lepiej już, żeby prochy wystrzelono w kosmos. Albo żeby Laura z awionetki wysypała je nad szmaragdowym morzem. Tyle że ona bała się latać!

Gdzie są wszyscy moi zamordowani przyjaciele? Miałem cmentarz w głowie. A Sąd Ostateczny na końcu wilgotnego nosa. Czuję mirrę, kadzidło i... złoto.

Byron mnie rozczarował. Powiedział „mam dość”. Nie wiem, skąd wzięło się to u mnie, ale nie potrafiłem zdzierżyć takich słów u samca. Nie żebym był bez grzechu. Ja swoje „mam dość” chowałem głęboko, w miejscu między uszami. A jeśli to nie wystarczało? Podbierałem Laurze prozac. Tak trzęsły jej się ręce, że od czasu do czasu jakaś kapsułka spadała na dywan. A co najważniejsze – zawsze w odpowiednim momencie.

Ostatecznie mogłem poczytać sobie jeszcze Schopenhauera. Zaprawdę: Byron mnie rozczarował.

– Musimy iść i sprawdzić sami! Bo już nie daję rady... To wszystko... Demoralizacja dzieci... Ordinis zbiera się dzisiejszej nocy. Musisz iść ze mną, Al! – szczekał.

– Jak to sobie wyobrażasz, co? Że przywiążemy sobie wstążkę do łapy i nikt nas nie pozna? W porządku, tobie nawet uwierzą, kiedy przyłapany skłamiesz, że chcesz przystąpić do stowarzyszenia. Powiedzą: stary Byron wreszcie zmądrzał. Ucieszą się. Ale co ze mną? Na moje nawrócenie się nie nabiorą. Zresztą w ogóle mnie w swoich szeregach nie chcą. A sznurek na łapie jako kamuflaż? Wybacz, ale jestem w okolicy dość znany...

– Będzie ciemno.

– Będzie pełnia księżyca. A zapach? Co z naszymi zapachami?

– O co chodzi? Trzeba będzie wytarzać się w cudzej kupie.

– Och, Laura będzie zachwycona.

– Olewasz psy dla ludzi?

Nie odpowiedziałem. Męczyło mnie coś innego... Skoro Byron mnie rozczarował, skoro nie mogłem zaufać żadnym psom, to czy mogłem liczyć na kotkę

i jej informacje? Nie żebym był ciekawski, ale...

– Spójrz w niebo. Jestem psem pasterskim. Niebo będzie zachmurzone, nie rozpoznają nas.

– Na pierwszym drzewie przerobię sobie kufę na mordę mopsa.

– Al, nie bądź naiwny. Nie ma nic bardziej jawnego niż działania tajnych stowarzyszeń. Tylko my jesteśmy ostatnią dwójką frajerów, która nie wie, o co chodzi. Chodź, popędzimy im kota.

– Właśnie tego się boję.

– Czego?

– Twojej brutalności, Byron.

– Jestem łagodny jak baranek. Tak czy siak, idziesz ze mną. Przysługa za przysługę. Pozwoliłem ci porozmawiać z dziećmi.

Cóż, kiedy tak postawił sprawę, nie miałem wyjścia.

Będę tego żałował?

Te cholerne psy szły na spotkanie po prostu ścieżką. Zupełnie jakby był środek dnia i gęsiego maszerowały na targ; tymczasem my z Byronem, po kwadransie w leśnych krzewach, mieliśmy już nieźle podrapane pyski! Auć, to zabolalo! „Stowarzyszenie” od siedmiu boleści! Ordinis, na moją łapę!

Psy szły, wymieniając się opiniami o karmach, serialach, zdrowotnych niedyspozycjach, seksie udomowionych gołców.

Najlepszy sposób na zaparcia. Co tam *Na Wspólnej*? Mój pan sypia z dziewczynką, która mogłaby być jego córką. Co sądzisz o piersiach Dody? Chciałabyś mieć takie, czy wolisz swoje sześć sutków? Wolę saszetki od puszek. Próbowales może ostatnio dzika?

O w kufę!

Pieski obwąchiwały sobie życzliwie zadki i trącały się pyskami. Jeśli ktoś zachowywał się trochę bardziej dostojnie, to znany nam basset. I prorok.

Jeden sterczał sztywno na mrocznej polance, drugi kierował psią pielgrzymkę do drzewa, w którego korzeniach leżała cateringowa sterta grzybków, jagód, liści i... bobków. Chyba już lepiej było całować mopsa w tyłek.

– Sprzymierzeńcy i Przyjaciele – zaczął Jeremiasz. – Bracia i siostry!

– Patrz tam – Byron mnie trącił. – Ktoś siedzi na pniu.

Faktycznie, na ściętym drzewie niczym na podwyższeniu widniała jakaś postać.

– Może dobrze by było, żeby jednak księżyc wyszedł zza chmur – stwierdził Byron.

– Może – zgodziłem się. – Tylko czy naprawdę wszystko trzeba widzieć na własne oczy?

Byron mnie nie słuchał. Pilnował swoich czarnych owiec, które powolutku, bardziej z fantazji niż z zawartości halucynogenów w poczęstunku, wpadały w upojenie.

– Zaraz się zacznie...

– Trzeba było sobie pooglądać kanał erotyczny. – Zafalowałem uszami. Napłynął do mnie zapach, który potrafiłem rozpoznać. Ale wcale nie chciałem. *Comodi miei*, pomyślałem, to co dla mnie wygodne. Pragnę tego, co dla mnie wygodne.

– *Peccato* – szepnąłem.

– Co?

– Szkoda – przetłumaczyłem, choć dosłownie *peccato* znaczy grzech. Ale przecież Byron pytał mnie o ogólny sens. Choć coś takiego w ogóle nie istniało w przyrodzie.

– *Peccato* – powtórzyłem.

– Ocal nas! Wyratuj nas! Zrób coś! – kiwały się psie sylwetki, nachylając prosząco ciała i wznosząc błagalnie pyski w stronę tajemniczego gościa kotwiczącego na pniaku.

– Niezła joga – burknąłem.

– Ja im dam jogę, Al! Klauni! Pudel w cyrku ma więcej godności. Ja im coś zrobię! – gorączkował się Byron, choć tej nocy można było uświerknąć z zimna. Byłem pewien, że ceremonia zaraz się skończy. Tylko gdzie dary? Gdzie ofiara? Czyżby znaleźli bóstwo, które miało takie rzeczy w nosie?

– A jeśli na tym pniu siedzi tygrys?

– Co ty pleciesz, Al?

– To jakiś cwaniak z innej dzielnicy. Cholerny samiec alfa.

– A jak to dziewczyna?

– Automatyczny akumulator! Brzęczący brzęczyk! Czekoladowe ciasteczko! –  
szczękał Tofu.

– Usposobienie człowieka jest złe już od młodości – wył Jeremiasz.

– Ja wam dam mambo džambo – zaryczał Byron i wyskoczył z krzaków jak  
charcik włoski z bloku startowego na wyścigach. Prawie jak charcik włoski. Raczej  
jak turoń.

– Stój! – wrzasnąłem za nim.

Mieliśmy być dyskretni. Taka była umowa, czyż nie?

Kurtyna z chmur rozsunała się i oto, jedyny trzeźwy, bo niezaślepiiony pychą,  
grzybami ni furia, ujrzałem obiekt kultu Ordinis. *Vedete, compagni...* Widzicie,  
towarzysze...

Czarno-biała kotka zeskoczyła lekko z pniaka na ziemię i zniknęła w lesie.

Turlaliśmy się po podusiach. W powietrzu, niczym starodawny wąż, unosił się  
dym. Spoceni Laura i Sebastian spoglądali na nas, jakby byli gotowi wcisnąć nam  
oseska. Albo tylko tak mi się wydawało. „Czekolada uszczęśliwia”. Nie dalej niż  
wczoraj widziałem dawną właścicielkę Sybille. Była chuda, za to w wózku, który  
popychała przed sobą, drzemało tłuste dziecko. Spod czapeczki wystawały mu rude  
piórka. Sybille byłaby dumna z tego dziecka – z jaką radością dreptałaby obok swojej  
ludzkiej rodziny!

– Postanowiłem w końcu napisać książkę – powiedział Tramp. Strup pomiędzy  
jego łopatkami miał lada chwilę odpaść.

– To gratuluję. Masz już temat? Może napisz nowy *Kot Leonarda da Vinci*.  
Zrezygnuj z opisów *Mony Lisy*, skoncentruj się na *Damie z lasiczką*. Napisz, że tak  
naprawdę lasiczka była orientalnym kotem, księżniczką porwaną przez piratów  
w Egipcie i została sprzedana na florenckim rynku.

– Przemyślę to, mój biedny, sfrustrowany przyjacielu. Ale czy boski Leonardo

nie namalował może psa?

Za cholerę nie mogłem sobie nic takiego przypomnieć...

– Chyba nie. Za to napacykował łabędzia. Na obrazie *Leda*. Wiesz, to była ta grecka księżniczka, która miała seksualną słabość do długich, białych piór.

– E tam.

– Albo *Psią Kamasutrę*. Chociaż, czekaj. Nie możesz tego zrobić. Uprzedziła cię taka dziewczyna, która zarabiała, wyprowadzając pieski na spacer. Dobra w tym była, miała do tego podejście. Ale na ciągnięciu smyczy nie zarobisz milionów. Była kreatywna, a próba utrzymania na smyczy młodego labradora wymaga kreatywności.

Tramp się roześmiał.

– Ale ludzie ostatnio mają fioła na punkcie labradorów. A ta dziewczyna nie nazywała się Jennifer Aniston?

– Nie. Tofik o niczym takim nie wspomniał.

– O *Psiej Kamasutrze* opowiedział ci basset, a ty mu wierzysz?

– Ja wierzę wszystkim swoim przyjaciołom. *Psia Kamasutra* zaczyna się jakoś tak: „Największy dog niemiecki – 20 centymetrów, średnica 6. Niewiele ustępuje mu owczarek niemiecki – 17, drugi wymiar 5,5. Najmniejszego ma cocker”. Gdyby Churchill przeczytał coś takiego w czasie II wojny światowej, od razu przegrałby wojnę, murowane. Wszyscy szczekalibyśmy po niemiecku, pytanie czy...

– Czy wszystkie psy niemieckie zyskałyby coś oprócz języka Goethego?

Teraz ja się śmiałem.

– Myślałem o czymś bardziej soft.

– To może... Państwo się przeprowadzają i w czasie zamieszania z przenoszeniem biedermeierowskiego kredensu tracą z oczu swojego psa. Orientują się, że zaginął, kiedy są na drugim końcu Europy. Obchodzą po nim żałobę. A tu nagle rok później on wtacza się do ich nowego ogródka pełnego petunii. Jest chudziutki, łapy ma obtarte do żywego mięsa. Wszyscy płaczą.

– *Lassie, wróć?* Proponujesz mi napisanie *Lassie wróć?*

– Á la Charles Bukowski. Zresztą twój pierwszy pomysł był najlepszy. Opisz seryjnego mordercę z osiedla.

- Nie mogę.
- Dlaczego?
- Bo go nie złapałeś.
- Fakt. Więc co napiszesz?
- O biednym małym chłopcu, tak samo nieszczęśliwym jak jego szczeniak.

O tym, że razem śpią w jednej budzie. O tym, że chłopiec dorasta i szczeniak dorasta. Chłopiec dochodzi do szczęścia i pieniędzy, a wraz z nim jego pies. Są nierozłączni. Pies się nie zgubi. Nieważne, na słomie czy na perskim dywanie, mężczyzna i pies mają jedną duszę.

- Tak. Ładne. Bardzo ładne. Nie wzięłeś tylko jednego pod uwagę.
- Czego?
- Że nim biedny chłopiec zamieniłby się w bogatego dobrodzieja, pies od dawna byłby martwy.

– *Licentia poetica.*

– Kontra życie.

Tramp ziewnął teatralnie.

– Dobranoc.

– *Quanto mi ami?*

– Co mówiłeś?

– Na ile mnie kochałeś? Tak powinien zapytać pies swojego pana. O ile napiszesz tę historię.

Zacisnąłem powieki.

– Nie musisz tego oglądać – powiedziałem jej.

– Co ty opowiadasz? Jestem mu to winna.

Pies leżący na podwórku probostwa miał całkowicie zmiażdżony łeb. Wacek i Placek ukryli się za gołębnikiem i tylko od czasu do czasu lękliwie zerkali za węgła. Ich poranny posiłek powędrował z miski do żołądka i z powrotem.

– To jest ciało mojego męża – szcęknęła Vita. – Identyfikuję je.

– Jesteś tego pewna?

– Tramp, ja żyłam z tym psem cztery lata!

Bóg mi świadkiem, że nie przepadałem za Kazbkiem, ale gdy zobaczyłem go martwego, było mi przykro. Nieruchomy chart to takie nienaturalne. Od 5000 lat tkwił w tej cudnej rasie instynkt pogoni za małymi zwierzętami. Kazbek miał go w specyficznej formie – biegał „za spódniczkami”. I należał do krwawej rasy, która zjada fenki – pieski pustynne. A jednak, mimochodem, zjadał serca nas wszystkich. Cóż, w końcu jako potomek psów faraonów może jeszcze nas zaskoczy i – sam nie wiem – odrodzi się. Mumie, piramidy, całe te życiowe pierwiastki „ka” i „ba”, i co tam jeszcze. Dziewięć żywotów egipskiego kota...

– Nie znosiłam tego. – Vita szarpnęła za czerwony sznurek zaplątany na psiej sztywnej łapie, dziwnie bladej wobec koloru rozlanej krwi. Wiadomo, że wszystkie charty mają ostre usposobienie, ale z zasady nie demonstrują uczuć. Przynajmniej nie przy psach spoza klanu. – Kazbek zawsze potrzebował dostępu do wolnych przestrzeni. Miejmy nadzieję, że wreszcie będzie go miał – zaszczekała.

Stała nad zwłokami i wydawała się taka bezradna, ale to trwało tylko chwilę. Później nas opuściła.

– Grace Kelly mogłaby się od niej uczyć – rzucił Tramp.

Dla niej sprawa tutaj się skończyła, za to moje śledztwo nabierało rumieńców. I umierało – jak chart.

Spojrzałem w niebo. Jakimś cudem gołębie porzuciły gołębnik, wielkie i tłuste jak pełne deszczu chmury zataczały koła po niebie.

– No, chłopaki – zaszczekałem do Wacka i Placka. – Co widzieliście?

– Nic. To znaczy tego tam, trupa. Byliśmy dopiero co po śniadaniu, wszystko poszło... – smutno pokiwał łbem Placek.

– Więc była to kolacja ze śniadaniem.

– Nie, dlaczego? – oburzył się Wacek.

– Musieliście garować u jakichś suczek. Inaczej przecież nocowalibyście na podwórku, a Kazbeka zamordowano nocą. Na drodze prowadzącej obok ruin dworku wprost pod bramę plebanii.

– To może on miał randkę?

– Zamknij się, głupku – warknął Wacek do Placka.

– Z kotką?

– Mało to jest bezeceństw? – mruknął Wacek.

– Taaa. Istotnie. – Ptaki zniknęły z niebios. – Kazbek zginął przy katolickiej plebanii. Blisko Boga. Szkoda, że był muzułmaninem. Z drugiej strony może Bóg, nieważne jak go zwa, jest jeden. Albo ma dar bilokacji.

– Bi co? – pisnął Placek.

– To znaczy, że ktoś może być w wielu miejscach jednocześnie. Jak święty Ojciec Pio – wytłumaczył mu Wacek.

– I jak wy.

– Co?

– Byliście u suczek. Byliście na plebanii.

Podniósł się harmider.

– Daj spokój, Al – rzekł Wacek. – Jesteś psem tak jak i my...

– Właśnie. Proboszcz uchyla bramę tylko rano w niedzielę, żebyście mogli pogonić tych, co nie chodzą na mszę! Ich psy! Przez większość tygodnia garujecie przy budach na podwórku! Przy budach, bo na samej plebanii nie nocujecie nigdy! Musieliście coś widzieć! – zawyłem.

Po moim monologu pierwszy otrząsnął się ojciec.

– Tajemnica spowiedzi – zaszczekał. – Nic ci do tego.

– Nic ci nie powiemy – dodał głupi Placek.

– Jasne, że nie. To ja będę rozprawiał, że żaden z was nie zjadł freudowskiej rozprawy *Tabu i totem*. Że wy obaj... Kazi...

– Przestań.

– Kazbek. Kto go zamordował?

– Człowiek! – zaszczekał Wacek. – Człowiek, ty... Ty sukinsynu!

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– Jaki?

– Dwunożny. Do licha, ciemno było.

– I co, nie pogubił się?

– Znał okolicę.



– A gdyby to był złodziej? Nie trzeba było szczekać?

– Nie był sam.

– Jasne, „był” z Kazbkiem. A potem z tym, co z niego pozostało!

– Nie tylko z Kazbkiem – szczeknął ostrożnie Placek. Wacek chapnął go za ucho. – Au, tata! – Zawył z pretensją do rodziciela. – Powinniśmy szczekać? Powinniśmy. Grzech! Grzech! Grzech! Pokuta! – Przewrócił się na grzbiet i trochę zaczęło nim rzucać, jakby wypluwał z siebie demona o imieniu Legion.

– I co narobiłeś?! Placek ma od szczeniaka padaczkę. Ma padaczkę, to probostwo i mnie! Rozumiesz, Al?! Zostaw nas w spokoju, nim mój chłopak odgryzie sobie język.

– Co to był za pies? Ten z mordercą?

– Mordercą był facet, który okropnie pachniał. A jego towarzysz? Pies jak pies. Jak suma wszystkich psów. A teraz na litość boską... – Wacek zająknął się. – Daj nam spokój.

– Amen – szczeknąłem.

„Teraz ziemia ją przygniata, lecz zbrodnia stanie przed oczami świata” – zacytowałem sam dla siebie *Hamleta*. Szkoda, że Szekspir nie pisał po łacinie albo chociaż po włosku, pomyślałem.

„Zwalcz w sobie rozpacz jak mężczyzna” – to z *Makbeta*. Też cholera po angielsku.

Poszedłem do ruin folwarku, przecisnąłem się przez dziurę, mało nie zostawiając uszu na poszarpanej siatce.

„Ruiny”, „Folwark”, nawet „Dworek” – nazywaliśmy to miejsce różnie, ale dziś to była tylko zrujnowana stajnia. I od wieków mieszkały tu koty, możliwe, że wciąż te same, nad którymi unosił się jak duch zapach starożytnych końskich derek, rozgrzanych końskich boków i nasmarowanych łojem siodła oraz uprzęży.

Kotka wyszła mi naprzeciw.

– Chodź do środka. Zimno. Wieje. A ja mam małe dzieci.

Zaraz odnalazła swoje miejsce w kącie, z którego miała widok na wszystko, położyła się na boku, a kociaki podpełzły do jej wystających, mlecznych sutków.

Ubijały pazurkami matczyne futerko i ciamkały głośno. Kotka się uśmiechała. Koty to potrafią.

– Możliwe, że to mój ostatni miot – zamiauczała.

Bałem się odezwać: „Chwilo, trwaj...”.

– Jesteś kastratem – stwierdziła. Nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Upadek wroga, cóż lepszego mogło cię spotkać? – Polizała łapkę. –

Czekałam na ciebie.

Zaczęła zeznawać. To znaczy opowiadać. Mój as w rękawie. Karmiąca kotka.

– Hej, hej, Tramp. Czy wiesz, że Goofy i Pluto, te śmieszne psy, to bloodhoundy?

– Czemu mi to mówisz, Al?

– Bo to są śmieszne psy. Bloodhoundy.

– Przestań się zgrywać.

– Muszę. A ty co taki na serio? Coś cię gnębi? Czytasz Dostojewskiego?

– Nic mnie nie gryzie.

– Wow! Naprawdę? Pooglądaj kreskówki, może cię odprężą, a może nie.

– Przestań, Al.

– A ty przestałeś?

– Tak.

– Musiałeś przestać. O rany! Śmieszna kreskówka dla śmiesznych psów, ale się ubawiłem. Myślisz, że to początek końca, taki śmiech? Wiesz, demencja.

W końcu jestem stary. Dotykam pyskiem grobu.

– Przestań, Al.

– Powinienem oglądać inne filmy. Może wytwórni MGM. Wiesz, tej z dużym miauczącym kotem w logo. I z napisem: „Ars Gratia Artis”. Śmieszne psy, śmieszne stare psy, które za wolno kojarzą fakty!

– Skończyłem z tym.

– Ooo! Pryza pójdzie siedzieć. Nie za morderstwa. Za przewały budowlane. Sebastian tego dopilnuje. Kto się interesuje morderstwem psów? Nieźle to sobie wykombinowaliście. Cmentarz dla psów przy lesie, schronisko dla psów na łące,

knajpa na folwarku. Wszystko pod przykrywką fundacji.

– Nie ja to wymyśliłem!

– Brakowało wam tylko jednego. Psów porzuconych, a przede wszystkim psów martwych. Taki zdechły pies jest gorszy od żywego. Nie porusza się, nic wokół siebie nie robi. Nie przymierzając, „wielka kupa”. A wiele martwych psów? Tutaj na osiedlu? Co zrobić z ciałami? Co zrobić z dziesiątkami martwych psów? Ano, potrzebny cmentarz. A jeśli... A jeśli te wszystkie psy się jednak ruszają? Jeśli tylko Pryza widzi je martwymi? Ktoś je musi wystawić, wywabić z domowych pieleszy. Pod nóż. Kto? Inny pies. Najlepiej podrzutek, bo przecież nie możemy zapomnieć, spuścić z oka istoty całego projektu. Cmentarz. Schronisko. Knajpa. Mamy tu idealny wzorzec współpracy na linii człowiek – pies. Dowód udomowienia i twojej inteligencji. *Zakochany kundel* to żaden durny Pluto. Prawie ci się udało Tramp, ty cholerny psi... – Zamilkłem.

I milczałem. Z sobie znanych powodów.

Diane Keaton w Allenowskim *Manhattanie* mówi: „Wydawało mi się, że miałam orgazm, ale mój lekarz mówi, że to nie to”. Laura nie miała takich problemów. Dla niej kulminacją stosunku seksualnego był dymek z papierosa. Zawsze i wszędzie. Brała czorta z bibułki w pełne purpurowe wargi i poruszała nim w górę i w dół, a uśmiech satysfakcji rozlewał się po jej zaróżowionej twarzy. Suka Freuda miałyby używanie. Żaden z facetów Laury nie zauważył, że całą satysfakcję daje jej camel. Cóż, nie znam żadnego psa ani żadnego faceta, który tak naprawdę miał kompleks użyteczności swojego członka. Jakim mnie, Panie Boże, stworzyłeś, takim mnie masz. Na tym przekonaniu opiera się cała samcza solidarność, której tak rozpaczliwie brakuje suczkom i kobietom. W każdym razie, że przerwę swoje szowinistyczne wywody, tamtej nocy Laurze w najistotniejszym momencie zabrakło fajek. Jak to możliwe? Sebastian też lubił sobie zapalić... Laura była zła, a kiedy jest zła, bywa roztrzepana. Tramp miał zamiar z tego skorzystać. Laura wyszła do sklepu nocnego, my za nią, prawie wybijając drzwi z framugi, tak nam się śpieszyło. Sebastian nieświadomy, że właśnie skazał się na niebyt w naszym życiu, zasnął błogo. Śpij, mój książę... Tramp ominął szczerzącą się windę Otis i ruszył w dół

schodami ewakuacyjnymi. Zrobił to w kompletnej ciszy, choć zwykle lubił szczekiem niepokoić odpoczywających burżujów. Pognałem za nim. Jednego byłem pewien: Tramp nie zamierzał już tu wracać.

Biegł przed siebie, bo wiedział, że ja wiem. Wszystko. Prawie wszystko. Wolałbym być nieświadomy jak szczenię. Dałbym łapę, że on też.

Minął furtkę, zbiegł z podjazdu dla dziecięcych wózków, przeciął dębową alejkę, pole i zniknął w lesie. Laura nic nie zauważyła.

– Ach, dajmy spokój – szczechnął Tramp i się zatrzymał.

– To miłe – pierwszy mróz szczytał moje łapy. Gadałem bez sensu.

Powinienem powiedzieć Trampowi, żeby zawrócił, że włóczęgi u progu zimy są pozbawione głębszego sensu, ale nie zrobiłem tego. Bo w końcu decyzja Trampa nie była aż tak głupia, w sumie miała głębokie egzystencjalne znaczenie. Szczególnie gdy dojrzałem kryjącą się za drzewami postać.

– Dlaczego?... – spytałem. Dlaczego pomagałeś temu okrutnemu człowiekowi? Co chciałem usłyszeć? Bo był moim panem, a ja jego psem? Bo nie dało rady inaczej? Bo...?

– Ktoś jeszcze wie?

– Tylko ja – odparłem. – I ona?

Księżyc wyszedł za chmur i futro saluki rozbłysło zimnym, złudnym ogniem.

– Ona też – zgodził się Tramp. – Wiesz, jak to jest, Al.

Wiedziałem. I czułem się zupełnie jak ten durny Bogart na zakończenie *Casablanki*. Nic się nie dało zrobić. Schwyciła nas rzeczywistość noir.

– Dbaj o nią. – Znowu nie odważyłem się powiedzieć, że zawsze mogą wrócić... Samolot kołował na lotnisku. Pieprzony Bogart.

– Al – zamachał ogonem.

– Tramp – otarliśmy się pyskami.

I to by było na tyle. Zniknął mi z oczu. Za jednym zamachem łapy zabierając mi dwie istoty, które kochałem.

*Natura deficit, fortuna mutatur, deus omnia cernit* – co bardziej rozsądni rzymscy cesarze nosili sygnet z taką sentencją. Służę tłumaczeniem: „Natura nas

zdradza, fortuna się zmienia, bóg patrzy z góry na to wszystko”. Myśl ujmująca w swej prostocie, co nie oznacza, że łatwa do przyjęcia. Rozwiązałem zagadkę. Czy liczyłem na triumf, który zgotują mi psy, wydobyte przeze mnie z cienia gwałtownej śmierci? Jasne, że liczyłem! Nie miałem na myśli nic specjalnego: ot, umajony Łuk Triumfalny wzniesiony na moją cześć na patio. Wyżerka, walki gladiatorów, pokaz sztuczek oswojonych słoni. Charcica koronująca moją suchą kościstą czaszkę wieńcem laurowym, który wdzięcznie oparłby się na uszach. O święta naiwności! Powinienem się raczej cieszyć, że ominęły mnie Idy Marcowe (patrz: historia Juliusza Cezara), z drugiej strony do marca było jeszcze daleko.

Skłamałem w kwestii kwiatów, bo jakieś kwiaty były i od razu lądowały w kuble na śmieci albo przelatywały przez balkon, przez co mieszkanie było bardzo wychłodzone. Dobrze się domyślcie: Laura poszczuła mecenasa Sebastiana posążkiem Buddy... Ten biedny facet jednak tak łatwo nie rezygnował. Współczułem mu, w tak krótkim czasie stracić „kobietę swojego życia” i ukochanego psa! Z drugiej strony nie wyobrażałem sobie jego wizyt u nas bez Trampa...

Laura ze znaną sobie subtelnością wyrzuciła róże, a zostawiła białe lilie, na które byłem uczulony. Parskałem i parskałem od ich zapachu. Po co ograniczać się do lilii i ich powolnego zabijania? Cmentarne kalie poproszę, płaczące o świcie! Chryzantemy! O rany! Stare psy potrzebują spokoju! Jeszcze trochę i będę aportował Laurze różowy, naturalnie żyłkowany wibrator, a ona będzie miała mroczną satysfakcję, patrząc, jak gumowy penis komponuje się z moimi zębami... Kompleks kastracyjny? Laura na pewno go miała.

– Wyłaż! Wyłaż! – Tofik wydierał się pod moim balkonem, niczym uwłaczający Szekspirowi (bo nie mnie) Romeo. Odkąd Tramp odszedł, Wielki Kinol odzyskał apetyt na życie.

– Al! Mam wiadomość! Nie uwierzysz, kto się do nas wprowadza!

Przypomnijcie mi, że nie zabija się herolda, kiedy ten przynosi złe wieści, ot, kwestia kultury. A jeśli wieści były dobre? Zżerała mnie ciekawość. Stałem pod drzwiami balkonu i zawyłem:

– Wypuść, kobieto!

Oberwałem odłamaną lilią, co nawet mnie ucieszyło. Bukiet się rozsypał i już nie tylko śmierdział, ale i straszył. Kubełek? Balkonik? Balkonik.

– Czego, Tofu? – szczechnąłem do basseta, który nie mógł ustać z niecierpliwości na łapach. Mój oddech parował w porannym powietrzu. – *Silenzio* – warknąłem, zamykając Tofikowi pysk, bo oto ktoś z sąsiadów nie tylko odważnie otworzył okno, ale i dzielił się z przypadkowymi słuchaczami dźwiękami muzyki. „*Malinconia, ninfa gentile*”. Opera uszczęśliwia! „Poprosiłem bogów o wzgórza i źródła; nareszcie mnie wysłuchali, będę żył szczęśliwy, i nigdy nie zapragnę odejść od tej wody ani przeprowić się przez góry”.

– Al! Nie uwierzysz...

Uniosłem łeb i zacząłem węszyć.